

PRZEŻYLIŚMY GROSS-ROSEN

**Tom II Filie obozu koncentracyjnego
Gross-Rosen**

Zeszyt 4 Kommando Gablonz

Na prawach rękopisu

**Związek Bojowników o Wolność i Demokrację
Ozielnica Warszawa-Śródmieście - Koło Nr 1
ul. Wiejska 11. 00-480 Warszawa tel. 296943
Komisja Historyczna Środowiska Gross-Rosen**

Warszawa 1986

Zespół Redakcyjny:

Zofia Doboszyńska, Halina Dudowa, Feliks Kidawa, Witold Kulisiwicz - kierownik Redakcji, Mieczysław Mołdawa, Roman Olszyna, Zdzisław Raź, Andrzej Romanow, Feliks Sikora, Henryk Uchman - sekretarz Redakcji, Juliusz Zagórski, Kazimierz Zamojski

przy współpracy:

Tadeusza Bernego /Wrocław/.

Kazimierza Bucholskiego, Michała Czebłakowa, Romana Gierka /Oborniki/, Jadwigi Gromadzkiej, Adeli Kiss-Orskiej, Romana Konarzewskiego /Poznań/, Stanisława Korby /Kielce/, Jana Kosińskiego i Mieczysława Kwietnia /Lublin/, Stanisławy Kozuchowskiej, Henryka Króla /Jelenia Góra/, Stanisława Kuczewskiego, Marii Malec-Więckowskiej, Alojzego Nowickiego /Inowrocław/, Bronisława Rudyka, Władysława Walczaka /Kalisz/, Lucjana Stefańskiego, Bogdana Wierzejewskiego, Piotra Wojciszewskiego, Julii Wroczyńskiej

Projekt okładki: Włodzimierz Kern



1815/6r

SPIS TREŚCI

	str.
Henryk Uchman - Byłem więźniem komanda Gablonz	7
Adam Grząski - Wspomnienia sanitariusza z rewiru w Gablonz	25
Stanisław Korba - Ze wspomnień o komando Gablonz	37
Stanisław Kuczewski - Wspomnienie z okupacji	43
Eugeniusz Ruszkowski - Z Hartsmandsforf do Gablonz	47
Zdzisław Makowski - Moje wspomnienia z obozów kon- centracyjnych Mauthausen, Gusen, Gross-Rosen i Gablonz	51
Jerzy Kądziałowski - Z życia na bloku w Gablonz	65
Czesław Reszko - Przeżyłem komando Gablonz	67
Tadeusz Hercog - Z Mauthausen do Gablonz	71
Henryk Uchman - Spis więźniów komando Gablonz według niepełnych danych archiwum środowiska	73

DO REDAKCJI

Prezentujemy wspomnienia więźniów Komanda Gablonz, wszystkie jakie aktualnie zgromadziliśmy w archiwum środowiska warszawskiego byłych więźniów Gross-Rosen. Część tych autorów już zmarła i nie można od nich uzyskać bardziej szczegółowych danych. Jednak w oparciu o te dane możemy ustalić pewne zbieżne fakty.

Na podstawie relacji Stanisława Korby, który przybył do Gross-Rosen dnia 3 listopada 1944 roku, a odjechał do Gablonz po około 10 dniach, ustalić można prawdopodobieństwo, że transport do Gablonz odjechał około 15 listopada 1944 roku. Potwierdza to relacja Adama Grzaskiego i Henryka Uchmana. Przypuszczalną ilość więźniów w pierwszym transporcie określa się na 500, choć inni podają na 600, a nawet więcej. Prawdopodobnym jest jednak, że transport liczył około 500 osób, jak podaje Adam Grzaski.

Nikt też nie pamięta ilości załogi esesmańskiej, jednak w każdym wagonie było 2 postów, a więc przyjąć można orientacyjnie, że obsada wartownicza liczyła co najmniej 15-tu żołnierzy.

Lagerführer Sanger mieszkał w górnej części budynku, gdzie był obóz więźniów i mało był znany więźniom w odróżnieniu od

Blockführera Paula Fabera określanego przez więźniów "pięć-dwadzieścia", gdyż najczęstszą wymierzaną przez niego karą było 25 batów, nawet za drobne przewinienia.

Drugi Lagerführer /nazwisko nie zapamiętane przez nikogo/ mieszkał z żoną też w wydzielonej części budynku dla więźniów na piętrze. Jego zapamiętali więźniowie jako człowieka wyrozumiałego na ich cierpienia.

Na przykład Eligiusz Grodzki wracając późnym wieczorem z ubikacji ciemnym korytarzem, zderzył się z osobą, której w ciemnościach nie widział. W parę sekund rozpoznał przed sobą Lagerführera w mundurze esesmańskim. Przepraszał jak umiał, trochę po niemiecku, więcej po polsku, że nie widział nikogo /podświadomie spodziewając się rychłej śmierci/, a tymczasem Lagerführer poklepał go po ramieniu i kazał iść spać.

Henryk Uchman w swoim wspomnieniu opisuje przypadkowe spotkanie w ciemnym korytarzu z żoną Lagerführera, która zamiast się przestraszyć i krzyknąć, dała znak aby zaczekał, dała mu kawałek chleba i nakazała milczenie.

I wreszcie pamiętają więźniowie jego przyjazd po objęciu funkcji Komendanta obozu, zaznaczony lepszym obiadem, a w przemówieniu do nas powiedział, że ma obowiązek pilnowania nas, a my mamy obowiązek pracy. Że jego dążeniem jest staranie o zmniejszenie naszych cierpień w niewoli. Pamiętają również więźniowie i ostatnie chwile przed wolnością.

Zbrodnie dokonywane na więźniach w rewirze opisane przez Adama Grzaskiego i wspomniane tylko przez niektórych - były postachem całego obozu.

Załączona lista 180 więźniów tego Komanda jest tylko częścią odtworzoną z relacji tych więźniów którzy przeżyli obóz. Były przecież transporty uzupełniające stan, przyszły transport ewa-

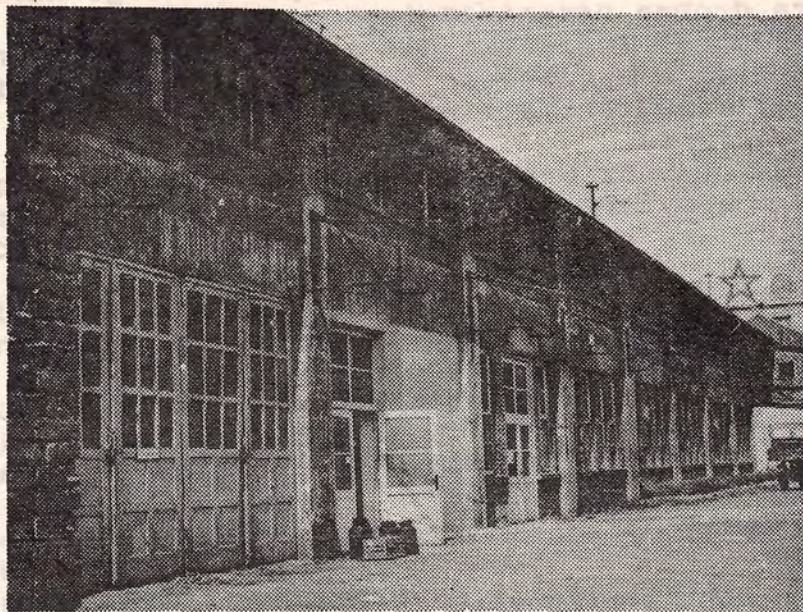
kuacyjne z innych Komand np.: Hartmansdorf, Hirschberg, odchodziły transporty np. do Buchenwaldu przez K-do Reichenau i do Reichenau do pracy w Baukolone.

Na podkreślenie szczególne zasługuje przyjaźń nawiązana z Kombatantami-partyzantami czesko-słowackimi i ludnością miast Tanvaldu, Rynovic, Jablonec n.Nysą i Żelaznego Brodu z wyzwolonymi więźniami z Polski.

Wyzwolenie w Tanwaldzie, pierwsza pomoc lekarska w szpitalu Żelaznego Brodu zachowały się głęboko w pamięci więźniów. Prowadzone od pierwszych lat kontakty indywidualne, korespondencyjne i osobiste wizyty - pojedyncze i zbiorowe, autokarem - organizowane przez klub b.więźniów Gross-Rosen w Warszawie utrwaliły tę przyjaźń.

Współpraca z Kombatantami OV CSPB w Jablonec umożliwiła nam uzupełnienie wydanego zeszytu o Gablonz zdjęciami z filmu wykonanego w pierwszych dniach wolności. A takich chwil nie zapomina się do końca życia.

Dalsze relacje żyjących jeszcze więźniów mogłyby pomóc w ustaleniu dalszych faktów dotyczących Komanda Gablonz.



W tym budynku na górnej kondygnacji zlokalizowano obóz Gablonz. Wszystkie okna były okratowane, a poniżej na wspornikach ogrodzenia z drutu kolczastego, uniemożliwiające wyskoczenie z okna. Na dole mieściły się pomieszczenia dla załogi esesmańskiej i stołówka dla nich. Wejście do obozu więźniów było na końcu budynku od strony widocznej w głębi fabryki. Stan budynku z 1978 r.

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.1.13.

GDY BYŁEM WIĘŹNIEM KOMANDA GABLONZ

1. Podróż. Kilkadziesiąt godzin trwała nasza podróż. Z Gross-Rosen transport odbywał się koleją w towarowych zakrytych wagonach. Pociąg ten składał się z siedmiu wagonów. Pierwszy był przeznaczony dla Komendantury i starszyny obozowej oraz bagażu konwojentów, w pozostałych 6 wagonach po około 80 osób młokowano więźniów dodając do każdego wagonu po dwóch konwojentów. W naszym wagonie nie było bardzo ciasno. Można się było poruszać, nie było miejsca aby wszyscy mogli siedzieć. Staliśmy, ale jak na konwój obozowy warunki były znośne.

Konwojenci siedzieli lub stali przy uchylonych drzwiach i pozwolili nam śpiewać.

Śpiewaliśmy wszystko, co kto pamiętał. Śpiew ten przynosił mi ulgę i zapomnienie, a nawet wprowadzał w uniesienie. Rozpocząłem śpiew coraz to nowej pieśni, wszystkie znane harcerskie, piosenki kabaretowe, patriotyczne, o Warszawie i w ogóle co się zapamiętało. Była już noc. Stałem niedaleko drzwi pędzącego pociągu, przy których stali konwojenci i po jakiejś pieśni poczułem, że żołnierz wpycha mi w rękę chleb. Myślałem, że śnię. Bałem się otworzyć dłoni - lecz spróbowałem i przekonałem się, że chleb jest dla mnie. Może któryś z konwojentów znał treść pieśni i jakieś wspomnienia nasunęły mu myśl wynagrodzenia inicjatora śpiewu. A może i innym rozdał trochę chleba? Tego nie wiem, bo nie przyznałem się nikomu, a ćwiartkę chleba podzieliłem się z najbliższą stojącymi.

W każdym razie zaliczam to zdarzenie do niezwykłych.

Pociąg nasz jechał, zwalniał, zatrzymywał się na dłuższych postojach, nim zjechał do celu, zatrzymując się na bocznicę towarową w Gablonz. - to obecnie miasto Jablonec n. Nysą. Dalej pieszym marszem dotarliśmy do obozu położonego w miejscowości Reinitz - obecnie w Sudetach Czeskich Rynovice. Jeśli przyjąć dobrą pamięć kolegi Adama Grząskiego, to z pociągu wysiedliśmy w trzecim dniu podróży. Dokładnej daty nikt nie pamięta, jednak przypuszczam, że transport nasz odjechał z Gross-Rosen 13 listopada, a do obozu w Gablonz dotarliśmy 15 listopada 1944 roku.

2. Gablonz. Przybyliśmy do nowego obozu. Budynek, w którym zamieszkaliśmy był barakiem ze ścianami murowanymi, dach konstrukcji drewnianej o sklepieniu łukowym. Niedaleko stał budynek fabryczny, a ścieżka z baraku do fabryki była ogrodzona siatką. W fabryce filia Zakładów ZEISSWERKE z siedzibą w Jenie - produkcja dla przemysłu zbrojeniowego Niemiec.

W zasadzie cała załoga pracowała w fabryce na dwie zmiany: nocna i dzienna po 10 godzin. W bloku pozostawali tylko funkcyjni. Do nich się zaliczali: Kuchekapo - Niemiec i jego pomocnik Rysio z Warezawy, blokowy Szasza - Ukraińiec, sztabowy Tadek oraz kilku

należących do policji obózowej, lekarz na rewirze też Polak i sanitariusz Adaś ze Lwowa. Był również kapogłówny - Niemiec, który odpowiadał za nas w czasie pracy. Funkcję schreibera pełnił Czechosłowak Vlasta.

W bloku naszym mieszkali również lagerführer z rodziną. Esesmani mieszkali i mieli stołówkę w dolnej części baraku, my byliśmy na kondygnacji górnej. Spaliśmy na pryczach piętrowych.

Niedaleko od naszego obozu był obóz kobiecy, jednak kobiety w naszej fabryce nie pracowały. Raz wypadła na mnie kolej zanieśienia do nich kadzi z zupą i wtedy widziałem. Myślę, że z naszego komanda otrzymywały jedzenie. Nie udało mi się z nimi pomówić. Widziałem ich wychudzone sylwetki, jakieś nędzne szmatki suszone na sznurach.

Obóz kobiecy założono już zimą. Gdy dotarły nie wiadomo skąd ewakuowane / może z Auschwitz / były bardzo utrudzone. W naszym obozie otrzymały kąpiel i pomoc sanitarną. Prawdopodobnie były to Żydówki z wielu krajów.

Komando było nowo powstałe, liczyło 500 więźniów. Z personelu fabrycznego można było się zorientować, że pracuję tam jako pracownicy cywilni Niemcy i Czechosłowacy. Było również biuro konstrukcyjne i biuro zarządu fabryki. Piętrowy biurowiec mieścił się w części hali fabrycznej; przez oszklone ściany można było obserwować całą fabrykę.

Ja pracowałem w zespole frezarek. Pamiętam, że od wejścia głównego do hali był zespół wiertarek / 10 maszyn /, dalej zespół frezarek / 10 maszyn /, później sały heblarki i piły, dalej tokarki.

W fabryce pracowaliśmy na dwie stałe zmiany. Na zmianie nocnej rozkład był następujący: wieczorem marsz do fabryki, o godz. 24 przerwa pół godziny na posiłek - zjadaliśmy kolację tj. chleb i kawę, a po przyjeździe do obozu po skończonej pracy / o godz. 6 rano / śniadanie. Później zajęcia obozowe i spanie. Obiad zjadaliśmy w obozie. Zmiana dzienna tym się różniła, że obiad zjadałem po powrocie z fabryki.

Biorąc pod uwagę nasze osłabienie na skutek niedożywienia, złych warunków mieszkania, braku odpoczynku i nadmiernej pracy - w niedługim już czasie zaczęło umierać wielu ludzi. Jeszcze nie był przygotowany rewir, a już pod ścianami układaliśmy chorych kolegów.

Pracą w fabryce w zasadzie regulował majster. On ustawiał maszyny i części do obróbki, on dawał wskazówki. Esesmani którzy mieli nad nami nadzór, zamykali drzwi fabryczne i nudzili się pilnując nas podczas pracy. U majstra była marka na wyjście do ubikacji, mógł ją dostać tylko jeden na 20 ludzi. W ubikacji stał więzień, który pilnował szybkiego załatwienia się. Nazywaliśmy go szajsko. Na naszej zmianie był to wysoki Rosjanin - dla mnie nawet poślizgliwy.

Majstrów na dziale frezarki mieliśmy dwóch. U nas byli Czechosłowak i Niemiec. Ich zmiany inaczej wypadały niż nasze. Niemiec wyznaczył na tłumacza Jopka z Czeladzi, który biegle znał niemiecki. Z pracujących na frezarkach współtowarzyszy pamiętam Jurka Sitko i Wojtka Moteła. Poznałem go już wcześniej, gdy jechaliśmy z obozu w Pruszkowie w jednym wagonie do Gross-Rosen. Był z nim wtedy brat Tadeusz. Wojtuś został jednak rozdzielony z bratem i przyjechał do Gablonz, a brat Tadeusz wysłany został na inne komando, jak się później okazało do Leitmeritz.

Wojtuś był chłopcem zasługującym na zaufanie. Brał udział w Powstaniu Warszawskim jako harcerz. Podobnie jak ja umiał opano-

wać żądze głodu. Był ambitny i nie nadszakał o dolewkę, co mnie jeszcze bardziej dla niego zjednało.

Majstrowie wymagali od nas dokładnej roboty. W fabryce było ciepło, więc w porównaniu z pobytem w Grosse-Rosen warunki były dużo lepsze. Jednak te 10 godzin przy świetle lamp elektrycznych dawało nam się we znaki. Walczyliśmy z sennością i osłabieniem, często chwytając się korpusu maszyny. Z ulgą przyjmowaliśmy ryk syreny zwiastującej przerwę na zjedzenie posiłku. Wyłączaliśmy wtedy maszyny, a w hali zalegała cisza. Podczas przerwy esesmani zapędzali nas wszystkich do ubikacji, kolejno więc wychodziliśmy dostając pajdkę chleba i kawę. Ponowny ryk syreny oznaczał rozpoczęcie pracy i zaraz słysząc było już normalny rytm hal fabrycznych. O 6 rano opuszczaliśmy fabrykę mijając po drodze do obozu zmianę dzienną. Wracaliśmy ponownie pod władzę lagerführera, blockführera, blokowych i jeszcze o niższej, ale za to bardziej dokuczliwej władzy obozowej. Myślało się w drodze powrotnej czy będzie odsważanie, czy nie zrobią apelu kontrolnego, czy nie podpadnie Szaszy, czy, czy ...

4. Organizacja sabotażu. Uzgodniliśmy z Wojtkiem, że w fabryce starać się dokładnie pracować to znaczy to samo, co zdradzić. Więc po zastanowieniu obmyśliliśmy pewne formy sabotażu, które nie powinny mieć charakteru masowego, lecz stopniowo narastającego.

Postanowiliśmy zwiększyć ilość braków frezowanych odlewów. Drugą formą było psucie frezów. Ze względów konspiracyjnych nie w tajemniczaliśmy nikogo więcej z pracujących na frezarkach na tej zmianie, ale później przystąpił do akcji kolega na drugiej zmianie /dziennej/ był to Jurek Sitko - harcerz z szarych szeregów, brał udział w ruchu przeciwko okupantowi.

Ostrożnie w rozmowach z zaufanymi podsuwaliśmy te możliwości kolegom z wiertarek, z tokarzami /Piechna i Dzierżanowski/. Nawiazaliśmy kontakt z wydziałem elektrycznym - /tajnym/ - Janiszewski, na rewolwerówkach: Makowski, Karpiński, Grodzki. Jak się okazało wielu więźniów których nazwisk nie znam przyjęli ten system pracy.

Frez ustawiał do obróbki pierwszej sztuki osobiście majster. Zrozumieliśmy, że jest pewna tolerancja ilości materiału zepsutego. Więc korzystając z tego, braki przy naszych frezarkach stale się zwiększały, tym bardziej, że kontrola materiału nie odbywała się natychmiast, tylko majster od czasu do czasu sprawdzał wymiary obrobionych sztuk. To samo dotyczyło frezów. Czasami wymieniałem na jednej zmianie 2-3 frezów. Wydawało nam się to dużo.

Pamiętam, że w narzędziowni magazynier, który wydawał nowe frezy był Czechoślakiem i przez częste kontakty przyzwyczaił się do mnie i do Wojtka. Za każdym razem robił do mnie oko i po błazliwie się uśmiechał.

Przypuszczam, że majster Czech też domyślał się powodów naszej nieumiejętności, ale nigdy nam nie zwrócił uwagi, nie zganił, nie poskarżył Niemcom. Dotyczyło to większości majstrów Czechosłowaków na innych działach na przykład na rewolwerówkach.

To samo stosowaliśmy na zmianie majstra Niemca. Ten bardziej zaczął nas pilnować szczególnie przy zmianie nowego modelu. Mimo to konsekwentnie psuliśmy odlewy tak jak na zmianie Czecha, tłumacząc się nieumiejętnością, brakiem zdolności lub zmęczeniem. Jopek, nasz tłumacz, dostał później opaskę kapo. Zaczął uważniej nas pilnować, kontrolować ustawienie maszyny w czasie pracy i podpatrzyłem, że dostawał od majstra Niemca chleb przynoszony z domu. Natychmiast ostrzegłem kolegów przed bystrością Jopka, który stawał się coraz bardziej agresywniejszy. Pewnego razu uderzył Wojtka



Panorama okolicy obozu. Z prawej strony od drogi widocznej pod lasem dach budynku, w którym był obóz Komanda Gablonz. Z lewej strony drogi pod lasem stoi biały krzyż z drzewa brzoźowego. W tym miejscu są pochowani więźniowie obozu, po ekshumacji z mogił tymczasowych rozrzuconych pod lasem, gdzie byli grzebani zmarli więźniowie w czasie niewoli. Zdjęcie wykonano prawdopodobnie w 1945 roku zaraz po zabraniu zwłok do wspólnej mogiły.

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.1.14.

za zepsucie dużej ilości odlewów, Wojtek dużo słabszy, z impetem potoczył się na frezarkę i przypuszczam, że pękły mu żebra, bo stale już się skarżył, że go boli.

Ja nierozważnie od razu zareagowałem i choć Jopek był wysokiego wzrostu podskoczyłem i uderzyłem go w twarz. Cios mój nie mógł być silny, ale sam fakt uderzenia przeze mnie musiał go zaskoczyć bo mnie nie uderzył, choć był kapo. Prawdopodobnie się zląkł, bo wszyscy koledzy zwrócili na niego wyczekujący wzrok. Dał mi spokój /chwilowo/, a na Wojtka już więcej ręki nie podniósł. Mimo to, jak się później dowiedziałem Wojtek Motel wolności nie deczekał. Został pochowany w Morawskiej Ostrawie na Żabińcu.

5. Nastroje świąteczne. Święta Bożego Narodzenia spędziłem w komando Gablonz. Niemcy i dla więźniów zorganizowali choinkę. Duży świerk wyrąbany w lesie stał na naszej sztubie. Zamiast cukierków i innych bakalii pozawieszał kùchekapo surową marchewkę, kawałki brukwi, kromki chleba, a więźniowie sporządzili z odpadkowego papieru jakieś przybrania i choinka stała. Dziwna rzecz, ale nikt z niej nic nie ściągał.

Dopiero po świętach padł rozkaz rozebrania choinki. Była to zabawa dla esesmanów i starszyny obozowej, jak więźniowie utworzyli kłębowisko ciał rozdrapujących pozawieszane "specjały".

Wieczór wigilijny urozmaicił się występem chóru amatorskiego, śpiewaniem kolęd.

Znaleźli się wreszcie i tacy, którzy zaimprowizowali występ artystyczny.

Nastrój był wzniosły, ale rzeczywistość szybko nas sprowadziła w realia obozu. Myśli nasze powędrowały do rodzin oddalonych. Jak spędzają święta w Warszawie, spalonej i znękaney. Gdzie są teraz moi rodzice. Matka była chora. Czy brat Lolek wywieziony do Oświęcimia wie, że i ja jestem w obozie? Jak żyje i gdzie teraz przebywa moja żona z córeczką Krysią? Kiedy mnie zabierano z domu był obecny ojciec i jeszcze kilka osób, które przechowywaliśmy. Czy i ich wywieźli? Czy się z nimi jeszcze zobaczę? A jak sobie radzi mój brat Marian, którego wypuścili z Radogoszczy przez starania Łódzkiej organizacji podziemnej i ukrywał się na terenie podwarszawskim. Czy uda mu się przetrwać tę zawieruchę? To zapewne były myśli i zapytania nie tylko moje lecz każdego z nas. W ciągu tych kilku miesięcy przeżyłem tyle niebezpieczeństw, utrudnień, chorób, niepewności losu, że moja przeszłość wydawała się jako bardzo odległa, a powrót nieosiągalny.

Wspominając swoich bliskich poznawaliśmy się wzajemnie i rodziny, których nigdy nie widzieliśmy osobiście, a uważaliśmy je za swoje własne.

Przy takich okazjach jak święta, a i w ogóle w każdym wolnym czasie, nawet po posiłku szybko zjedzonym byli amatorzy tematów kulinarnych. Opowiadali jakie pieczywa wypieka jakaś piekarnia, pieczywo świeżutkie, ciepłe, pachnące i chrupiące. Jureczek z Warszawy opowiadał jak jego mama przyrządzała przystawki na przyjęcie gości. Smakowicie wyglądały jajka gotowane na twardo udekorowane na muchomorki na łączce. Szczegółowo poznaliśmy technikę tego dania; kapelusze były z pomidorów, posypane siekanym żółtkiem, a stały na półmisku w majonezie przybranym szczypiorkiem zamiast trawki. Jurek, młody chłopiec z Warszawy tęskniąc do matki stale mi o niej opowiadał.

Był też jeden maniak, który tworzył teoretycznie różne potrawy i każdemu o nich opowiadał. Chwalił się, że po wojnie wyda książkę kucharską.

6. Higiena, która zabija. W każdą niedzielę rano kazali nam prać pasiaki i bieliznę. Pranie ograniczało się do zamoczenia w wodzie, gdyż żadnych innych dodatków nie otrzymywaliśmy. Takie pranie nie usuwało brudu i wszy.

Kiedy ubranie było jeszcze mokre nie wysuszone - blockführer zarządził alarm i wszystkich nas wyprowadzał na spacer. Była zima, spacer bez względu na mróz polegał na maszerowaniu jeden za drugim w koło, ze śpiewaniem pieśni obozowych w języku niemieckim. "Góralu czy ci nie żal" było wyjątkiem i śpiewaliśmy po polsku, bo Blockführer bardzo tę piosenkę lubił. Myśmy maszerowali, a ubranie sztywniało na mrozie. Po godzinnym spacerze mieliśmy już wszyscy dosyć śpiewu. Blockführer w oficerkach i weźnianych skarpetach w mundurze i płaszczu asystował nam na spacerze, ale my w drewniakach na bosych nogach, w mokrej bieliźnie i ubraniu musieliśmy płacić przeziębieniem, a często zapaleniem płuc lub gruźlicą. Po przyjeździe na blok mogliśmy ubranie dosuszyć podczas odwaszania. Czystość nawet najbardziej przez nas przestrzegana, nie mogła zniszczyć wszy. Ich siedlisko i wylęgarnia mieściła się chyba w kocach, bo pranie bielizny i ubrania nic nie pomagało. Koszule przy przeglądzie kilkugodzinnym były bez wszy, ale przy kontroli pod lampą zawsze się coś jeszcze znalazło. Wtedy zarządzano dodatkowe kary jak skakanie żabką, albo dodatkowe roboty w obozie.

Zdaje mi się, że zarządzenie prania tylko w czystej wodzie, było raczej obliczone na naszą udrękę, a mało miało wspólnego z higieną.

Drugim elementem higieny była kąpiel pod prysznicem, niestety i tutaj obliczano na udrękę więźnia. Wokół ścian kąpieliska ustawiono pipli obozowych z pałkami, a którzy pełnili funkcję jakby milicji obozowej, dla utrzymania porządku, a właściwie używani byli do bicia. Środek kąpieliska pod sitkami zajmowali więźniowie, pipile i funkcyjni pod ścianami. Puszczano na zmianę wodę od lodowato zimnej do gorącej. Odeskoczenie nagiego szkieletu od sitka kosztowało zarobienie pałki. I teraz zależało od wyboru: lepsze bicie czy męka pod sitkami. Najgorzej mieli ci więźniowie którzy byli w środku kąpieliska, bo już nie mogli dostać się pod kij, aby uwolnić się na chwilę od tej strasznej kąpieli.

Kąpiel nasza była zabawą dla starszyny obozowej. Kto kierował wtedy dopływem wody nie ustaliłem, ale oskarżam tego człowieka o morderstwo niejednego z nas tym higienicznym sposobem.

Pewnego razu władze obozowe zarządziły zbiórke tych, co notowani byli za wszy. W liczbie około stu i ja się znalazłem. Ustawili nas piątkami i otoczyli kordonem kapów i wszelkiego rodzaju zwyrodnialców, co za misę zupy /jedną a może i więcej dziennie na dodatek/ sprzedali się jako pipile./ oni wszyscy byli uzbrojeni w pałki drewniane, gumowe i sprężynowe. Dano rozkaz do skakania żabką, a oni nas kijami popędzali do pośpiechu. Nasze skakanie szybko zmieniło się w czołganie, a później w masakrę ludzi już bezsilnych, nie poruszających się, a ciągle bitych. Do dziś zachodzę w głowę, jak to możliwe, że do bicia drugiego człowieka znajdują się chętni i w biciu tak gorliwi. Po uderzeniach zrozumiałem, że nie markują, lecz spełniają to gorliwie, choć byli i oni zmęczeni. Część kolegów przeczołgała się pod prycze, ci mniej dostali, reszta stała się kłębowiskiem ciał, gdyż jeden drugim się zasłaniał, zresztą bez skutku. Od kurzu z podłogi powstał jakby obłok mgły, oddychać też było trudno. I znowu po takim zabiegu "higienicznym" trzeba było uzupełniać stan komanda, tyle że w Gross-Rosen więźniów nie brakowało.

Nie miałem wielkiej urazy do władz obozowych za tego rodzaju udręki, bo byłem w ręku wroga, ale miałem i mam głęboki żal do współwięźniów, którzy byli na tyle zwyrodniali, żeby /choćby kosztem własnego zmęczenia/ tak solidnie bić swoich współtowarzyszy. Ci nie rozumieliby co to sabotaż - oni pracowali dla otrzymania premii od wroga.

7. Ucieczka z obozu i jej skutki. Zdarzyło się zimą, że dwóch więźniów uciekło z obozu, a właściwie uciekli z fabryki podczas zmiany nocnej. Jakie plany mieli uciekający, nie wiem. Czy przemysłęli wszystkie szanse, też nie wiem. Myślę, że raczej była to ucieczka nieprzemyślana podyktowana rozpaczą i brakiem wytrzymałości, bez obliczenia szans za i przeciw. Jeden z uciekających był Rosjaninem, drugi zdaje się Jugosłowianinem. Wykorzystali okoliczności sprzyjające do opuszczenia fabryki.

Ucieczka ich zakończyła się tragicznie dla nich i może jeszcze bardziej tragicznie dla nas. Sytuacja była następująca: drzwi wejściowe do hali fabrycznej były oszklone i zamalowane tylko niebieską farbą ochronną. Drzwi te zamykali od wewnątrz esesmani, którzy pozostawali z nami na hali przez całą noc. Na zewnątrz posterunku nie było, prawdopodobnie z powodu mrozów. Drzwi były ponadto zasłonięte od wewnątrz ciężką kotarą, która stanowiła izolację, a również nie przepuszczała światła na zewnątrz w czasie alarmów lotniczych.

Wiertarki były umieszczone najbliżej drzwi wejściowych i właśnie dwóch więźniów z grupy wiertarek uciekło.

O godzinie 24⁰⁰ zawyła syrena fabryczna wewnątrz hali obwieszczać przerwę w pracy. Podczas przerwy wszyscy wyłączaliśmy maszyny i przechodziliśmy do ubikacji i dopiero pojedynczo wychodząc otrzymywaliśmy kolację tj. pajdkę chleba i czarną kawę. I właśnie uciekinierzy, wykorzystując te fakty, w momencie zamieszania o 12 w nocy, kiedy wyjąca syrena zagłuszała wszystko, wybili szybę pod zasłoną kotary i opuścili fabrykę. Ucieczka ich mogła być spostrzeżona najwcześniej po pół godzinie, to jest po zakończeniu przerwy.

I tak się stało, a właściwie to jeszcze później, bo esesmani zostali powiadomieni dopiero po 10 minutach pracy po przerwie. Majster początkowo myślał, że są w ubikacji, ale jak spostrzegł, że marka na wejście jest u niego, a dwie wiertarki stoją bezczynnie, zawiadomił eskortę esesmańską. Zarządzono alarm. Liczenie nas trwało znowu z pół godziny, tym bardziej, że wiedzieliśmy już o ucieczce i specjalnie marudziliśmy w liczeniu.

Ściągnięto nas z fabryki do obozu i liczono wspólnie z pierwszą zmianą dzienną, lecz i to nie dało efektu. Początkowo przypuszczano, że oni uciekli na blok, żeby się wyspać. Powtórne liczenie całego stanu znowu trwało około godziny. Tak że w końcu pościg rozpoczęto co najmniej po upływie półtorej godziny. Szanse dla uciekinierów się zwiększyły.

Wściekłość esesmanów nie miała granic, a najwięcej był wściekły Blockführer. Doszedł on do wniosku po nieudanej pogoni, że ucieczka była zorganizowana. Zaczęto badać pozostałych 8 więźniów pracujących na wiertarkach. Dochodzenie skończyło się egzekucją wymierzenia każdemu po 100 batów. Biedni, stracili z miejsca szansę przetrwania obozu.

Dalsze dochodzenie i poszukiwania nie przyniosły efektu. Blockführer rozszerza krąg badań. Sprowadził więźniów z następnej grupy maszyn. Były to frezarki, na których wśród dziesiątki i ja pracowałem. Padł wyrok Blockführera ponownie po sto batów dla tych ośmiu z wiertarek i po sto batów dla nas. Jesteśmy świadkami egze-

kucji. Blockführer liczy osobiście. Egzekucja trwa długo. Bici już nie jęczą. Ale nas boli choć jeszcze nas nie biją. Nie możemy na to patrzeć. A przecież stoimy w następnej kolejce.

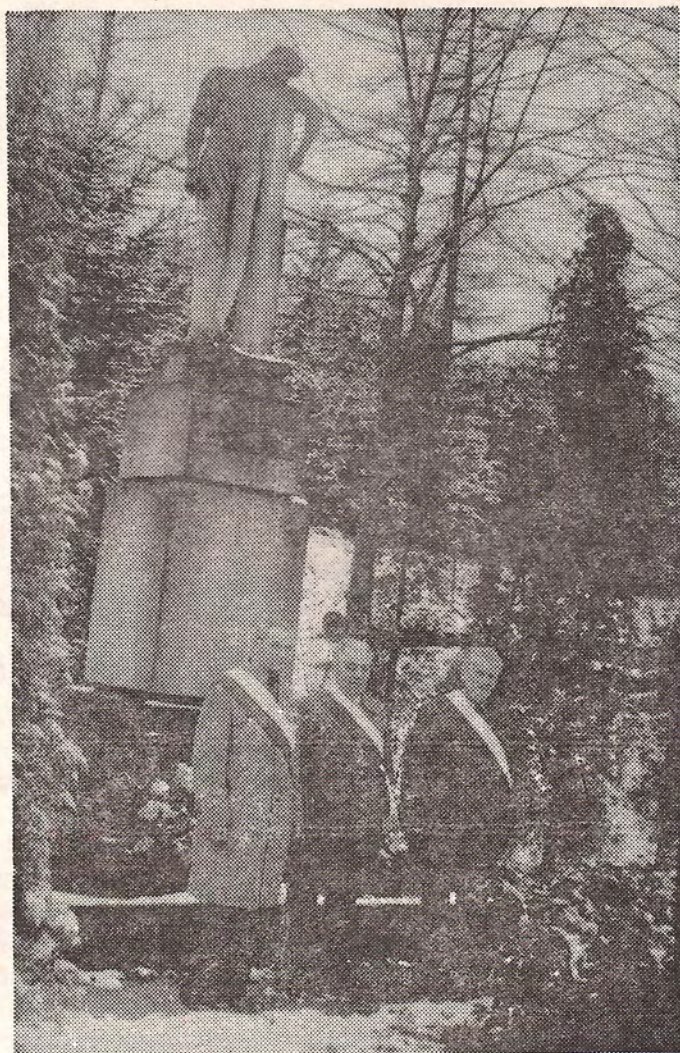
Przeklinałem w duchu tych dwóch, co uciekli. Czy opłacało im się uciekać dla wątpliwego ratowania własnego życia, ale dla wykończenia w męczarniach 8 współtowarzyszy, którzy by może przetrwali i doczekali końca wojny, a wydawał się on nam zawsze bliski. A jak my wytrzymamy egzekucję? Nasza kolejka stale się zmieniała. Każdy z nas chciał odwlec moment egzekucji. Praktycznie, stojąc na końcu, za chwilę stałem już pierwszy, uciekłem na koniec aby znowu być niedługo pierwszy. W końcu doszła do nas kolej. Na kogo pierwszego wypadnie. Nie pamiętam nazwiska. Zdaje mi się, że to był Tadzio z Warszawy. Młody wysoki chłopiec. Jeden z tych, co zorientowany był w działalności sabotażowej w grupie frezarek. Blockführer zaczyna liczyć. Dwóch siepaczy dobrze odżywionych biją na zmiany, po razie. To za wiele na moje nerwy.

Na salę wszedł Rysio Martyniak, zobaczył co się dzieje i zaraz się wycofał do swojej sztuby. Po chwili na salę wszedł Küchenkapo, więzień - Niemiec, mający duże wpływy w obozie z racji swej funkcji. Znał mnie z widzenia z kontaktów z Rysiem. Bez namysłu natychmiast uciekłem z szeregu w jego stronę i wtedy dopiero pożałowałem, że nie znam biegle niemieckiego. Zacząłem chaotycznie do niego mówić po polsku, wplatając wyrazy niemieckie, że jesteśmy niewinni, że nic nie wiemy o ucieczce, że dostajemy po sto batów i dodałem coś jeszcze w tym rodzaju, dokładnie nie pamiętam. Może liczyłem, że Küchenkapo wykończy mnie od razu, bo z tego słynął, a może wiedziony intuicją przypomniałem sobie spostrzeżenia, że Küchenkapo esesmanów nienawidzi, a oni się go czegoś boją. Küchenkapo na pewno mnie nie zrozumiał, jednak nie uderzył, lecz zbliżył się do Blockführera i coś po niemiecku zaczął z nim mówić.

Blockführer coś mu odpowiedział i powstała między nimi ostra sprzeczka. A najważniejsze, że esesman w tej sprzeczce przestał liczyć, a oprawcy przestali bić. Tadzio już nie był bity i to było ważne. Sprzeczka między Niemcami coraz bardziej przybierała na sile, coraz głośniej dyskutowali i w końcu Blockführer wszedł do sztuby Küchenkapo. Egzekucja została odłożona. Na nasze szczęście już się nie powtórzyła. Zrozumiałem, że solidarność łączy nie tylko Polaków, ale więźniów innych narodowości. Wyniosłem, że choć Küchenkapo jest więźniem, to musi mieć wpływ na Blockführera. A może i Rysio coś pomógł - tego nie wiem, ale często o tym myślę. Niedługo po tych wypadkach Blockführer został zmieniony i skończyły się spacerzy ze śpiewem na mrozie w mokrych ubraniach i sprawa ucieczki przycichła. Szkoda tych 8 kolegów, którzy pewno życiem przypłacili niefortunną ucieczkę 2 współtowarzyszy.

Po około dwóch tygodniach zostali oni ujęci i przywiezieni do naszego obozu. Musieliśmy przed nimi przedefilować. Przywiązani byli za ręce do słupków, na głowie mieli biskupie czapki i napis w języku niemieckim, że znowu są z nami. Władek Krawczyński słyszał jak więzień Rosjanin szeptał: "brat ubij". Spodziewali się napewno dalszych męczarni. Wywieziono ich do Gross-Rosen. Przybywający do nas stamtąd więźniowie na uzupełnienie stanu komanda powiedzieli nam, że uciekinierów powieszono.

Nic nie było tak drogie, jak wolność. Ja uciekałem już z obozu jeńców wojennych w Radomiu w 1939 roku, ale ucieczka moja tak była przemyślana, że nie mogła spowodować represji wobec innych. W transporcie do Gross-Rosen, gdy Władek Krawczyński otworzył w nocy drzwi wagonu i można było skakać w biegu pociągu, nie wyskoczyłem ze względów solidarności z najbliższymi towarzyszami, którzy



Rynovice. Maj 1980
 Warta honorowa więźniów obozu Gablonz.
 Od lewej: Stanisław Kuczewski,
 Stanisław Salamon, Zenon Karpiński

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.2.35

Tak wygląda obecnie zbiorowy grób więźniów komanda Gablonz, zmarłych w ostatnich miesiącach istnienia obozu. Byli grzebani w ziemi pod lasem. Po zakończeniu wojny, zwłoki ekshumowano do zbiorczej mogiły, na której postawiono krzyż brzozy z koroną cierniową z drutu kolczystego. Przed mogiłą wzniesiono monumentalny pomnik i napis na cokole "Liede bdet" - /Bądźcie czujni/

nie decydowali się na skok - ale rozumiałem tych, co skaczą, i namawiałem. Gdybym był sam na pewno bym skakał, ale nie mogłem skakać bez Sewka Pianowskiego, który był zabrany z mojego mieszkania, a on nie zdecydował się. Uciekł wtedy z wagonu Janusz Madanowski i inni. Słychać było strzały eskorty, o ile wyskakujący nie natrafił na słup lub inną przeszkodę, mógł mieć szansę. A później w obozie stale obmyślaliśmy plany ucieczki, ale nic nie mogło nam przyjść do głowy logicznego, by tak uciec aby innych nie narazić. I dlatego uznałem, że ucieczka jest trudna i że więcej nam pomoże wzajemna solidarność oraz pomoc koleżeńska, której tak bardzo potrzebowaliśmy. Większość kolegów również w ten sposób komentowała zagadnienie ucieczki, że albo wszyscy, albo w takich warunkach, żeby nie było zbiorowej odpowiedzialności. Do końca mojego pobytu na tym komando ucieczek już nie było. To jeszcze pamiętam, że na początku naszego pobytu w Gablonz został znaleziony drąg żelazny na pryczy Kazia Jastrzębskiego /żołnierz AK uczestnik Powstania Warszawskiego/, na której spał razem z Czechosłowakiem. Była to okazja do przeprowadzenia badania jako podejrzani do przygotowywania ucieczki. Zakończyło się biciem. Kazio i Czechosłowak znieśli jakoś tę kaźnię mężnie, wyleczyli się.

Spotkanie z Kaziem Jastrzębskim w Warszawie na wolności było dla mnie wzruszającym przeżyciem.

8. Culaga niknie sama. Sprawa wyżywienia w obozie była największym problemem. Czasami wydawali ćwiartkę chleba na dwóch i trzeba się było podzielić. Podział ten odbywał się z wielkim rytuałem i skrupulatnością. Więźniowie już nie dzielili chleb na oko, ale odważali na wadze własnej konstrukcji. Okruszyny też były równo podzielone. Nie myślę się chyba, że chleb był podstawowym i najbardziej pożądanym pożywieniem. Chleb był najdroższy. Bywały często kradzieże chleba wśród więźniów, zresztą surowo karane, ale z czasem złodzieje tak się wyspecjalizowali, że trudno ich było wykryć. Dziś z pewną dozą rozczulenia i podziwu wspominam złodziejski spryt kradzieży mojej culagi, ale wtedy kawałek chleba był dla mnie stratą bardzo bolesną.

Rysio, pomocnik küchenkapo, powiedział mi, że potrzeba zrobić za oknem w sztubie küchenkapo półeczkę, która w zimie będzie dla niego lodówką. Jeśli to zrobię, to coś dostanę. Niemalże się natrudziłem nad znalezieniem odpowiedniej deseczki, z wielkim mozołem obrobiłem ją nożem, dopasowałem, zrobiłem ogrodzenie ochronne, żeby z półeczki nic nie spadało. Robiłem to kosztem snu, po przyjeździe ze zmiany z fabryki. Wreszcie wszystko udało mi się wykończyć i zamontować. Półeczka podobała się küchenkapo. Kazał Rysio dać culagę. Była to kromka chleba, a na niej łyżka marmolady. Taka wysoka zapłata, jakiej się nawet nie spodziewałem. Na sztubie było już ciemno, wszyscy spali. Cichutko podszedłem do swojej pryczy. Spałem na górze. Zbadałem czy nikt mnie nie obserwuje, ale słychać było tylko, jak zwykle, jęki i stękania ludzi utrudzonych i śpiących. Położyłem culagę na swojej pryczy z zamiarem zjedzenia jej w łóżku. Chciałem się delektować zapachem i smakiem marmolady z chlebem. Schyliłem się na dół, by zdjąć drewniaki, trwało to może sekundę, dwie. Zalegała nadal cisza. Wspinam się więc na górę i ostrożnie szukam culagi, aby jej nie zgnieść. Lecz szukam daremnie. Culagi nie ma. Wszyscy śpią bez ruchu. Nie dowierzam sobie i swoim oczom. Szukam oczami i rękami, ale bezskutecznie. Culaga zniknęła. Sąsiedzi moi śpią snem kamiennym.

Nawet nie robię alarmu, nie ma po co. Moja culaga pewno już w brzuchu zjedzona bezszelestnie przez czujnego kolegę więźnia.

Przeżyłem tylko radość posiadania cula, przeżyłem w myśli przyjemną chwilę jej zjedzenia, lecz zjadł ją - bez przyjemności, ale z korzyścią - ktoś inny.

A więc doświadczenie: "co masz w ręku do zjedzenia, zjadaj natychmiast". Pozostało to mi do dnia dzisiejszego.

Innym razem zdarzyło się, że jeden ze współwięźniów nocną kradzież żywności przypłacił życiem. Nikt nie dostawał paczek za wyjątkiem Niemców i Czechów. /Byliśmy przecież na terenach Czechosłowacji/. Jeden z kolegów czeskich dostał paczkę. Zjadł co mógł, trochę podzielił się pewno z najbliższymi kolegami, a resztę schował na pryczy, w której spał. Ale nie spał czujnie, śnił mu się dom rodzinny, a może usnął z nadzieją na dobre śniadanie. Rano zbudził nas jęk jednego z kolegów Rosjan. Boli go brzuch. A za chwilę Czechosłowak już krzyczał, że zginął mu smalec.

Rozpacz jednego więźnia połączona była z konaniem drugiego. Dostał skrętu kiszek i zmarł w męczarniach.

Nasz warszawski transport pozbawiony był w ogóle nadziei na otrzymanie paczki. Mogły być one nadawane tylko z terenu Rzeszy, a poza tym kto z najbliższych wiedział gdzie my jesteśmy. W Gross-Rosen raz wolno było wysłać list po niemiecku, ale tylko do Rzeszy, więc choć napisałem adresując do Warszawy, wiedziałem że nie dojdzie. Znajomych w Rzeszy nie miałem. Jedynie Sewek Pianowski, którego rodzice mieszkali w Nasielsku, wysłał list, ale odpowiedzi ani paczki do Gross-Rosen nie otrzymał. Doszła do niego paczka z domu do Gross-Koschen/, ale dowiedziałem się o tym już na wolności. Mimo to warszawiacy dzielnie i z godnością znosili mękę głodu. Duża grupa młodocianych była otaczana opieką, ale poza dolewką lichej zupy i to czasami, nic więcej dostać w obozie nie mogli. Chleb był wydawany w jednakowej ilości dla wszystkich. Żaden z kolegów naszego transportu nie skusił się na przyjęcie jakiegokolwiek funkcji. Z przyjemnością i dumą Polaka wymienić mogą tylko te nazwiska, która z Gablonz zapamiętałem: Bernhard Laskowski, Zdzisław Makowski, Kazimierz i Czesław Jastrzębscy, Piechnowie /ojciec i syn/ i dziesiątki innych, a właściwie wszyscy z naszego transportu - nikt nie splamił godności więźnia politycznego i Polaka.

Wspominam też sensację na naszym bloku, gdy nadeszła paczka dla Władka Krawczyńskiego. Od kogo - on sam był zdumiony. Zbiegliśmy się oglądać tę paczkę. W pudełku tekturowym od butów były skórki czarnego chleba i suchary, a na dnie kilka sztuk cebuli. Oczy się Władowi i mnie zaszklily, gdyż domyśliliśmy się, że paczkę przysłała mu żona, która razem z kobietami w dwóch ostatnich wagonach jechała z naszym transportem. Wagony odczepili we Wrocławiu. Dlatego też i Władek mimo że otworzył wagon w transporcie do Gooss-Rosen z wagonu nie uciekał. Kilka skórek chleba Władek rozdzielił między najbliższych, ja nie mogłem wyciągnąć ręki, choć też miałem chęć - ale się wstydziłem. Te skórki chleba były na pewno z wielkim wyrzeczeniem, przysłano właśnie dla Władka, a nie dla innych. Polska kobieta - niewolnik niemiecki znak przyjaźni i otuchy.

9. Wyzwolenie czy śmierć zagląda nam w oczy. Może w końcu stycznia na początku lutego wśród załogi esesmańskiej zamieszanie i niepokój. Z dalekiej od obozu odległości słysząc wieczorem odgłosy kanonady artyleryjskiej i wybuchy bomb lotniczych. W obozie zarządzono alarm i przygotowania do ewakuacji. Koce wolno nam zrolować i przewiesić przez ramię. Z podgłówek trzeba wysypać zawartość i zamienić na chlebak. Jest wieczór. Wydają nam chleb na kolację, a dodatkowo po bochenku chleba na podróż. Zabraniają go jeść, bo nie wiadomo, na jak długo nam ma on wystarczyć. Gotowych do marzu,

ustawiono nas pod ścianą baraku, gdzie stłoczyliśmy się w jednym rogu gdzie nie ma prycz. Na wprost nas, przed drzwiami wyjściowymi, ustawiają karabiny maszynowe z obsługą. Każą siadać i czekać. Czekamy, nie wiedząc na co. Może nie ma rozkazu do wymarszu? A może wyzwolenie bliskie? A może tu pozostaniemy na zawsze, bo po co te karabiny...

Różne myśli kłębią się w głowach. Serca biją przyspieszonym rytmem. Rozmawiać nie wolno, mimo to udaje mi się uzgodnić z zafanymi kolegami, żeby uprzedzili najbliższych, że w razie przygotowania do zbiorowej egzekucji wszyscy rzucamy się na karabiny maszynowe. Odległość ze dwadzieścia metrów. Wszystkich nas od razu nie zabiją, część może się uratować. Uznaliśmy to jako jedyny ratunek w wypadku rozpoczęcia ognia.

W tej sytuacji postanowiłem dorwać się do całego bochenka chleba. Przecież tak o nim marzyłem. Cały bochenek mieć w ręku! Zacząłem go jeść wolniutko, bez pośpiechu. Czasu było dużo, bo beczynnie siedzieliśmy kilka godzin patrząc w lufy karabinów. Zjadłem może z pół bochenka, resztę pokroiłem na mniejsze płaskie kromki i pochowałem w zrolowanym kocu. Kawałek włożyłem do chlebaka. Najedzony jak nigdy, rozmyślam o mogących się zdarzyć wypadkach. Wzrokowo porozumiewam się z towarzyszami. Dają znak, że są przygotowani i najedzeni.

Nadchodzi ranek. Ewakuacja odwołana. Pada rozkaz ustawić się w rzędzie i oddawać chleb na rozłożone na podłodze koce. Z zalem oddaję chleb nie dojedzony. Dziw, że za zjedzenie chleba nie biją. Rewidują tylko, czy ktoś chleba nie zatrzymał. Żal mi było tych kolegów, którzy taki skarb musieli oddać w całości.

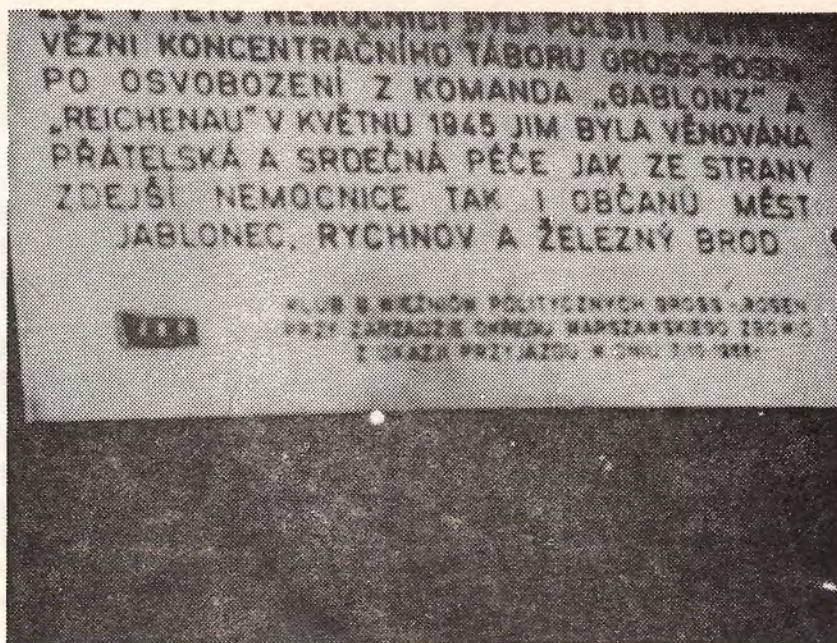
A dziś myślę, że może to była moja nierozwaga. Bo gdyby nastąpiła ewakuacja, co bym jadł. Jednak tym razem się udało.

Obóz wrócił do normalnych zajęć. Zmiana poszła na fabrykę do pracy, a wolność nadeszła dopiero w maju 1945 roku.

10. Są wśród nas zdrajcy, ale jest też solidarność. Od czasu do czasu robiono na bloku rewizje. Stawialiśmy w szeregu i podlegaliśmy dokładnej rewizji osobistej. Zabierano wtedy kawałek sznurka, z blachy zrobione scyzoryki /noży w obozie nie dawano do krojenia chleba i tym podobne drobiazgi. W życiu obozowym są one bardzo potrzebne, ale dla zwycięskiej armii hitlerowskiej są zagrożeniem. Inna grupa kontrolowała prycze oraz obszukiwała wszystkie zakamarki.

W obozie była zakonspirowana grupa sabotażowa, do której należałem. Podjąłem się przyniesienia na blok płyty ebonitowej, która była w dziale elektrycznym, tajnym i dodatkowo ogrodzonym. Pracowałem blisko wejścia do tego działu. Płytę wyniósł mi Władek Janiszewski, idąc do ubikacji i niespostrzeżenie oparł ją o korpus maszyny przy której pracowałem. Ja płytę schowałem pod mantel i przyniosłem do obozu. Schowałem ją na murze ściany pod stropodachem, bo z mojej pryczy mogłem tam dostać. Wobec tego, że płyta z tak wielkim trudem została dostarczona na blok, żal mi było, aby ją odkryto przy rewizji. Do sprawdzenia murku wyznaczony był Polak, nie znam nazwiska ani numeru. Był wysoki, dlatego go wybrali do tej czynności. Zaryzykowałem i szepnąłem mu, żeby koło mojej pryczy na murku nie nie zauważył, niech szybko ręką przeleci. Płyta była płaska grubości około 2 centymetrów, i byłoby możliwe do wytłumaczenia, że nie namacał, gdyby ktoś drugi za nim kontrolował. Jednak tym razem się zawiodłem.

Odkrył płytę i przyniósł ją do oberkapo. Oberkapo, Niemiec, szczupły, niskiego wzrostu, nie wtrącał się do naszego życia obozowego. Miał nierozłącznego przyjaciela białego pieska -szpica.



Polscy więźniowie zrzeszeni w klubie b. więźniów Gross-Rosen przy Zarządzie Warszawskim ZBOWiD ufundowali i wmurowali w 1968 roku tablicę miedzianą przy wejściu do szkoły w Żelaznym Brodzie upamiętniając pobyt swój w szpitalu Czerwonego Krzyża

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.2.13.



Zenon Karpiński z Warszawy odczytuje tekst tablicy - gdyż tu otrzymał pierwszą pomoc na wolności

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.2.12.

Ten człowiek odpowiadał za nas w fabryce i to on właśnie zarządził tę rewizję. I dlatego znalezienie tej płytki było groźne. Jak zwykle, przy rewizji był z psem.

Płytką w obozie z tajnego działu specjalnie pilnowanego - była dla oberkapo wielkim zaskoczeniem. Wystąpiłem z szeregu, zameldowałem swój numer. Był wściekły. Wiedział, że pracuję na frezarkach, więc zapytał, skąd wzięłem tę płytkę. Odpowiedziałem, że znalazłem przy swojej maszynie na ziemi, że pewno podczas transportu została zgubiona. Uderzył mnie kilka razy w głowę i ponowił zapytanie. Powtórzyłem to samo. Nie wierzył, więc bił dalej, żądał żebym powiedział od kogo dostałem. Odpowiadałem niezmiennie jednakowo. Bił dalej, a gdy upadłem, kopał i krzyczał. Ja już nic nie mogłem odpowiadać. Początkowo czułem ból, później chciałem dostać cios śmiertelny, a później nic już nie pamiętałem. Powiedzieli mi potem koledzy, że wszedł na blok Küchenkapo i zapytał, dlaczego mnie tak bije. Coś porozmawiali i obaj wyszli. Koledzy wynieśli mnie do "wasserraumu" i oblewali wodą. Odzyskałem przytomność, ale bolało mnie wszystko. Głowa była opuchnięta jak bania i sina, zęby powybijane, ciało posiniaczone. W pewnym momencie zostałem sam. Przyszedł Küchenkapo. Koledzy się rozbiegli, gdyż myśleli, że mnie wykończy. Küchenkapo patrzył na mnie leżącego i rzucił mi pod ręce zapalonego papierosa. Był to wielki gest, bo papierosy były rzucane na ziemię i rozdeptywane abyśmy nie mogli peta znaleźć.

A więc Küchenkapo, ten, którego nawet esesmani się bali, Niemiec, jako więzień był solidarny w stosunku do innych więźniów, nawet do "warszawskich bandytów".

Na drugi dzień jeszcze bardziej wszystko bolało, a opuchlizna na twarzy zakryła mi oczy. Towarzysze chcieli mnie ratować na rewirze. Lekarz odmówił przyjęcia z braku podstaw choroby, bo w obozie bić nie wolno, a wobec tego nie może być pobitego na rewirze. Poprowadzili mnie koledzy ze zmianą do fabryki i postawili koło maszyny. Majster Czech na mnie spojrzał i nie kazał włączać maszyny. Tylko stojąc jej się trzymałem.

Niedługo przyszedł oberkapo - mój wczorajszy oprawca. Zapytał przez tłumacza dlaczego nie pracuję i co to jest, że tak wyglądam. Kazałem tłumaczowi powiedzieć, że śpię na piętrowej pryczy i we śnie spadłem na ziemię i tak się potłukłem. Udał bardzo zdziwionego i współczującego. Później koledzy mi powiedzieli, że tę odpowiedź uratowałem sobie życie.

Niedługo przyszedł dyrektor fabryki i zapytał jak zdobyłem tę płytę i po co. Odpowiedziałem niezmiennie to samo co mówiłem oberkapo, że ją znalazłem, a zabrałem, żeby zrobić sobie pamiątkę, bo ta płyta da się kroić i rzeźbić. Ubolewał bardzo, że nie zgłosiłem się do dyrekcji, to dostał bym inny materiał, lepszy, a z fabryki wynosić nie można, to jest sabotaż.

Byłem później obiektem pokazowym przy biurze konstrukcyjnym. Przy drzwiach do biura była umywalka. Dostałem proszek i kazali mi ją myć, a w tym czasie wszyscy pracownicy biura kolejno przechodzili i mnie oglądali. Prawdopodobnie była to metoda odstraszania pracowników biura od wynoszenia z fabryki, albo od sabotażu. Na niektórych twarzach widziałem współczucie. Pewno byli Czechosłowakami, albo Niemcami o ludzkich sercach.

Z biegiem czasu doszedłem do siebie bez pomocy lekarskiej, dzięki staraniom i opiece najbliższych kolegów: Wojtka, Władka, Leona, Zenka, Zdzisia, Bernarda i innych.

Zdrajca nie długo czekał na odwet świadczący o naszej solidarności. Przy wydawaniu obiadu podeszedł drugi raz z miską po

dolewkę bo spodziewał się nagrody. Dolewkę, o ile zostawało coś w kotłach, dostawali prominenci, młodociani, fryzjerzy i inni wykonujący dodatkowe prace np. murarze, a dopiero później mużulmanie. Ktoś powiedział kűchekapo, że on już raz "naszlag" dostał i podchodzi po raz drugi. A to było karane. Kűchekapo zarządził z miejsca 25 batów, które otrzymał w czasie obiadu. Chyba zrozumiał, że zdrajcy taką właśnie nagrodę otrzymują. Fakt ten był dla mnie ukojeniem i wykazał, że u nas w obozie jest solidarność nie tylko grup, ale wśród więźniów różnych narodowości. Organizacja obozowa jest silniejsza choć zakonspirowana.

11. O sposobach leczenia chorób. Zaraz po przyjeździe do Gablonz, już w pierwszych dniach pobytu, zaobserwowałem objawy choroby u współtowarzyszy. Zewnętrznie choroba objawiała się opuchlizną całego ciała. Nogi, brzuch, ręce i głowa ledwo mieściły się w napiętych pasiakach, skóra była naprężona i przypominała wodniste bąble jak po oparzeniu. Takich chorych było coraz więcej. Drugą widoczną i dość powszechną była chyba róża. Twarz obrzękła koloru fioletowego. Chory wyglądał jak w dużej gorączce. I wreszcie trzecią chorobą były wrzody. Jak również dotknięty byłem opuchlizną. Żeby się ratować przestałem pić płyny. I to mi pomogło. Przeszedłem również chorobę wrzodową. Zaczynało się od krosteczki, która miała bolesny łepiek i powiększała się do wrzodu, wielkości pięści. Środek wrzodu był wypełniony ropą, a po wyciśnięciu powstawał krater do którego palec by się zmieścił. Wrzody były bolesne przy dotyku noszonego ubrania, a tworzyło się jednocześnie kilka. Do dziś pozostało mi kilkadziesiąt blizn na piersiach i głowie. Ropiejące nogi, ropiejące karki, gruźlica, biegunka, gorączka - oto najczęstsze spotykane choroby w Gablonz.

W kilka dni po przyjeździe dostaliśmy zastrzyki, czasami dawali nam do połykania pigułki. Przyjmować musieli wszyscy znajdujący się w danym momencie na bloku. Czy to były środki zapobiegawcze chorobom, czy doświadczenia mające wykazać skuteczność nowych leków, nie wiem, raczej wobec zwiększającego się stanu chorych można przypuszczać to drugie.

W baraku przystąpiono do budowy ścian, mających wydzielić pomieszczenie dla chorych. Miał powstać tak zwany rewir. Do murowania ścian zgłosiło się na ochotnika dwóch murarzy. Początkowo robota im szła. Ale w miarę wzrostu muru przechylał się on na zewnątrz, aż ściana runęła. Zdaje mi się, że murarze dostali baty i nie wiem już kto dokończył budowę. A może i oni, lecz w końcu nauczyli się murować. Jeden z nich był warszawiakiem. Rewir skończono i przeniesiono chorych z sali.

Szefem rewiru był lekarz obozowy - więzień, narodowości polskiej, a przy nim kilku sanitariuszy. Zapamiętałem Adama Grzęskiego ze Lwowa. Długo chorych tam nie trzymano, bo nie było miejsca i nie było czym leczyć. Choć medycyna obozowa dawała nam, przebywającym poza rewirem do połykania jakieś pigułki i zastrzyki w piersi, ale dla chorych był tylko jeden zastrzyk, o którym się dowiedziałem, ale był to zastrzyk śmiertelny.

Patrzyłem na lekarza i jego pomocników jak na morderców, bo właśnie zastrzyk z fenolu /lub czegoś podobnego/ on wykonywał. Największą zapobiegliwość pomocnicza służba medyczna wykazywała przy wydawaniu obiadu. Misek rewir wystawiał zawsze bardzo dużo, kto wie czy nie więcej niż wymagał stan. Ale czy chorzy wszyscy mogli jeść? To jest tajemnica rewiru. Dla chorych nikt z nas nie żałował. Często się zdarzało, że ktoś się zakradł do rewiru wieczorem przynieść koledze kawałek margaryny lub własnego chleba i pocieszyć go. Ale na rewir był wstęp surowo zakazany.

Z kroniki prasowej "Beseda" w Żeleznym Brodzie pod datą 9 maja 1945 roku zapisano:

Strona, 9. května 1945.

V 8,15 odjíždí štápt. Haíner s por. Rybkou a Pleskotem do Jablonce n. Nis. Připravuje se nástup na Sudety.

Stále docházejí ve větších či menších skupinách němečtí zajatci.

V 11 hod. se stěhuje ONV. ze své prozatímní místnosti v radnici do Cristalu.

V 11,02 hod. vyhláší siréna letecký poplach.

Asi ve 12,30 hod. byl prý pozorován souboj ruských a německých letadel nad Koberovami.

Ve 13,05 hod. přivezen první transport nemocných Poláků z koncentračního tábora v Rýnovicích. Dopraveni do ošetrovny v úředním domě.

Ve 14,13 hod. jsou přiváženy zbraně, náboje a benzín z Jablonce n. N. a složeny v sokolovně.

Ve 14,20 hod. přijíždí další transport Poláků z Rýnovic.

V 15,30 hod. postřelen při přepravě zajatců nešťastnou náhodou br. V. Vokřínek.

Transporty aut s kořisti (hlavně zbraně a střelivo) se množí a šoféři jsou hromadně dopravováni do Jablonce, aby ukořistěná vozidla přivezli do Brodu.

V 16,05 hod. dochází velký pěší transport polských vězňů z koncentračního tábora, kteří jsou v tak ubohém stavu, že musí být všichni v ošetrovně prohlednuti lékařem a většinou ponecháni v ošetrování. Sestry Cerveného kříže mají nyní plně ruce práce!

V 16,13 hod. přichází první skupina cizích dělníků (Francouzů, Rusů, Italů) z Jablonce. Je mezi nimi také žena (Italka) s pětíměsíční dcerkou na kočárku. Jsou posláni k Melníkům na polévku.

Stále docházejí skupiny Poláků z Rýnovic, jež jsou nyní posílány na Pořic.

V 17,15 hod. přijíždí velké nákladní auto s vlečákem, plné německých uprchlíků a zavazadel. Jedou prý z Bunzlau ve Slezsku a jsou již od 10. února na cestě. Jezdí sem tam a nevědí, kam se obrátit.

Skupiny dělníků všech možných národností docházejí a dojíždějí různými dopravními prostředky od Jablonce. Jsou umísťováni, pokud místo stačí, na Pořic, nebo posíláni do okolních obcí. Prof. Janíček se osvědčuje jako výborný tlumočník.

V 19,02 hod. přivádí mistr Bukvic na koni velký transport německých zajatců.

V 19,21 hod. odjíždějí 2 čtyři Bartoškovy roty do Jablonce.

V 19,41 hod. siréna vyhláší letecký poplach. Je hlášeno 8 letadel nad Jabloncem. Je slyšet i střelbu z palubního kulometu.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.1.12.

Nigdy chyba nie widziałbym wnętrza ponurych klitek, gdyby nie choroba Józia Szolca. Wychudł bardzo, osłabł, tak że nie mógł już iść o własnych siłach do fabryki. Miał wysoką temperaturę. Pracował na tokarkach. Pocieszałem go, jak mogłem, żeby wytrwał. Pokazywałem mu swoje wrzody i dawałem przykłady innych, którzy cierpią, a jednak się nie załamują. Spaliśmy obok siebie na pryczach. Pewnego dnia prycza pusta - Józia nie ma. Zaczynam go szukać. Znalazłem na rewirze. Leżał na pierwszym piętrze pryczy z lewej strony ścianki. Oczy tylko świeciły chorobliwym blaskiem. Był przytomny, pomimo gorączki. Wpadałem do niego przez kilka dni, aby mu opowiedzieć co się dzieje w obozie, wspominaliśmy bliskich, którzy są daleko od nas. Pocieszałem i dodawałem otuchy. Przynosiłem mu margarynę lub kawałek kiełbasy, jak czasami dostaliśmy na kolację. Wizyty moje odbywały się około godziny 22⁰⁰ wieczorem, kiedy pracowałem na dziennej zmianie. Wiedziałem już o praktyce usypiania więźniów zastrzykiem i prosiłem Józia, żeby nadrabiał miłą poprawę zdrowia. O zastrzykach wiedział, bo obserwował tych którzy po zastrzyku wracali. Widziałem jednego, który wracał jak właśnie byłem u Józia. Pokazał mi go i powiedział, że za chwilę zostanie wyniesiony.

Pewnego ranka dowiedziałem się, że w nocy była selekcja rewiru. i że w grupie do zastrzyku znalazł się Józio, a więc wczorajsza moja u niego wizyta była ostatnią. Odszedł Józef Szolc, zabrany do obozu wraz z bratem Alfreodem - obaj polscy ewangelicy, zapewne niemieckiego pochodzenia, którzy odmówili przyjęcia listy niemieckiej. Józio Szolc zginął jako Polak - godnie. Na rewir już nie miałem do kogo się zakradać, w moim przekonaniu był to prędzej zakład pogrzebowy niż lecznica i więcej tam nie zagłębiałem. Unikałem nie tylko lekarza, ale i jego pomocników. Tajemnicę zastrzyków i leków stosowanych na rewirze może opisać ci co tam pracowali. Zmarli i uspieni więźniowie początkowo byli odwożeni do Gross-Rosen, jednak później, w okresie od stycznia 1945 roku byli grzebani w lasu za obozem. Stan obozu był stale uzupełniany z innych komand i z centrali w Gross-Rosen.

Po wyzwoleniu zwłoki więźniów zostały ekshumowane przez ludność czechosłowacką i złożone w jednej wspólnej mogile, nad którą wzniesiono pomnik z kamienia. Na cokole jout napis: "Liede bied" /bądźcie czujni/ a za pomnikiem stoi brzozyowy krzyż z kłębem drutu kolczastego z ogrodzenia obozowego - jako korona cierniowa. Nielicznym udało się wyjść z rewiru i doczekać wolności, a należy do nich dr Jan Dadak z Krakowa. Wielu z więźniów zmarło w pierwszych dniach wolności w szpitalach Jablonec, Żelazny Brod i są pochowani na miejscowych cmentarzach.

12. Wyjazd do komando Reichenau. Komando Gablonz stale uzupełniało nowymi przybyszami do pełnego stanu, na skutek ubytków spowodowanych śmiertelnością więźniów. Metoda "leczenia" w rewirze przez stosowanie śmiertelnych zastrzyków, również przyspieszała wymianę więźniów. Niemniej komando Gablonz stanowiło już zorganizowaną grupę więźniów polskich, francuskich, czeskich, rosyjskich i niemieckich, którzy znów byli zwartymi grupami narodowościowymi, ale jednocześnie solidarnymi internacjonalnie. Mówi o tym choćby kilka przykładów przytoczonych w tym wspomnieniu.

Więźniowie funkcyjni rekrutujący się przeważnie z mętów społecznych, łatwo i szybko dali się poznać i zostali izolowani. Np. Szasza - podobno własowiec, który już wcześniej zdradził swą ojczyznę. Niektórzy więźniowie funkcyjni, nawet Niemcy, wykazali w sporadycznych przypadkach dojrzałą indywidualność i międzynarodową solidarność więźniarską, stając po stronie grup ruchu oporu np.

Küchekapo. Wszyscy tym bardziej wzajemnie sobie pomagaliśmy, im bardziej się poznawaliśmy. Nawet zmiana Lagerführera wpłynęła na poprawę naszego samopoczucia, a poprawa dania obiadowego - zupa z kaszą dodała nam otuchy.

Kiedyś, przechadzając się korytarzem koło mieszkania Lagerführera w poszukiwaniu jakiegoś użytkowego odpadku minąłem się z żoną Lagerführera. Przyłgnałem do ściany, bo w korytarzu był półmrok w nadziei, że mnie nie zauważy /nie chciałem jej przestraszyć/, ona jednak musiała mnie spostrzec, otworzyła mieszkanie, wbiegła do niego nie zamykając drzwi i, nim zdążyłem się wyślizgnąć ze swego kąta włożyła mi do ręki kromkę chleba, kładąc palce na ustach jako znak milczenia. Zrozumiałem, że żona Lagerführera też jest naszym sojusznikiem.

Przybył do nas transport oświęcimski. Patrzyliśmy z podziwem na ich dobytek obozowy. Koce, włochate wełniane, bieliznę i inne prawie zapomniane przez nas przedmioty, jak np. szczoteczki do zębów, a nawet broń palną. Przyjechali na 28 wozach konnych. Mieli jechać do Berlina z eskortą esesmańską. Droga była zamknięta i po trzech dniach wrócili. Ich dobytek na wozach został zabrany przez esesmanów, a oni rozpoczęli normalne życie więźniarskie. Po kilku dniach zaczęli niknąć. Podobno ich Küchekapo wykończył. Byli to kapowie z Oświęcimia.

Patrzyliśmy na nich ze zdziwieniem i podziwem, oni na nas jak na mużłamanów. Niechętnie z nami rozmawiali, lecz z tego co mówili wynikało, że zaskoczeni są losem, jaki im przypadł, tj. przebywanie w naszym obozie. W Oświęcimiu mieli większe wygody.

W krótkim czasie wyczytane zostały do transportu numery więźniów z naszego komanda. Byliśmy tym bardzo zdziwieni, bo tylko raz, po świętach Bożego Narodzenia, kilku więźniów zostało wyznaczonych na transport, w tej liczbie Czesio Jastrzębski i Tabaka - obaj z Warszawy. Musieli oddać wszystko co zdołali zorganizować sobie w obozie - strzępy szmat, swetrów itp. Tylko w pasiakach poszli na transport w nieznane - jak się później dowiedziałem do Buchenwaldu /kilku z nich zmarło/. A teraz znowu transport. Wyczytują numery. Pada i mój. Żał mi rozstawać się z przyjaciółmi. Żał mi rozstawać się z Vlastą - szrajberem, Czechosłowakiem, który otrzymując paczki z domu, dał mi raz kawałek suchara. Żał mi opuszczać przyjaciół z Warszawy: Wojtka, Jurka, Zenka, Bernarda, Zdzisia i innych, którzy jako harcerze stali w szeregach walczących, a w obozie zakonspirowali się w grupy sabotażu fabrycznego, szkodząc czynnie wrogowi.

Stu więźniów odchodzi z obozu pieszym transportem do Reichenau. Jest początek marca. Dzień dłuższy, a śnieg już zaczyna topnieć w lesie pod promieniami słońca. Przy ścieżce leśnej widzę, że coś się bieli na mchu. Co to może być? Po dłuższym rozważaniu dochodzę do wniosku, że to skorupki jajka zjedzonego na twardo. To jednak jeszcze są ludzie, którzy jedzą jajka. Jak też to smakuje? Maszeruję i rozmyślam. Rozmawiać nie wolno. Konwojenci zaostrzają czujność, byśmy się nie rozbiegli. A my sprzyjającej okazji też nie widzimy do ucieczki.

Wieczorem byliśmy przyjęci na bloku 2 w komando Reichenau i wcieleni do baukolony.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.3.3.

WSPOMNIENIA SANITARIUSZA Z REWIRU W GABLONZ

Z początkiem listopada 1944 roku skierowano nad, 500 więźniów obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, do bloku transportowego, zlokalizowanego niedaleko bramy wejściowej przy placu apelowym. Byli wśród nas reprezentanci wielu narodowości: Polacy, Czesi, Jugosłowianie /przeważnie Chorwaci/, Rosjanie, Holendrzy, Belgowie, Włosi.

Formowano nowe ausenkomando Gablonz, dobierając do niego przede wszystkim wysokokwalifikowanych techników, rzemieślników i robotników - szlifierzy, tokarzy, ślusarzy, metalowców - i kierując się zeznaniami, uzyskanymi podczas rejestracji, podczas przyjęcia nas do obozu. Byli wśród nas też fachowcy ściągnięci do Gross-Rosen i z innych obozów koncentracyjnych. Bezpośrednią władzę nad nimi przejął blokowy Tadeusz Kowalski. Jego blok był nie wykończonym jeszcze barakiem, podzielonym na dwie zasadnicze części: jedna przewidziana była na łaźnię, w drugiej, zgromadzono nasze przyszłe komando.

Urządzeń żadnych tu nie było. Z boku znajdował się duży stóg, czyli nasze pośłanie, rozciągane na noc na ziemi; do przykrywania się mieliśmy koce. Na dzień salę barakową porządkowano, a więźniów przepędzano na dwór. Tu dorywczo werbowali ich do rozmaitych komand roboczych różnego autoramentu kapowie. Pomieszczenie bloku, kiedy przebywaliśmy na zewnątrz, wykorzystywane było do wielu celów, m.in. jako sala kinowa dla obozowych prominentów i funkcyjnych. Wewnątrz bloku znajdowały się jeszcze nieduże, wydzielone pomieszczenia: dla blokowego, na podręczny magazyn żywnościowo-gospodarczy, na wc. Zanim rozpoczęto formowanie naszego komanda z niepokojem oczekiwaliśmy zimy, toteż z ulgą i nadzieją na lepsze warunki pracy pod dachem przyjęliśmy skierowanie na to właśnie komando. Między nami, przerzucanymi z dnia na dzień do rozmaitych dorywczych zajęć, nawiązywały się nici koleżeńskiej przyjaźni. Wszystkich nas łączyła złudna nadzieja lepszego jutra. Jednego dnia, kiedy już ciemno było na dworze, skierowano nas w kilkunastuosobowej grupie do obierania kartofli w kuchni. Pozwolono nam śpiewać, byliśmy jednak czujni. Wiedzieliśmy, że w ten sposób wyłapywano tych, którzy w piosence ujawniali i w ten sposób podtrzymywali ducha oporu. Tragicznie się to dla nich kończyło. Załoga blockführerów i strażników składała się z ludzi niejednokrotnie rzucających język polski i rosyjski, nie mówiąc już o całej plejadzie wewnętrznych donosicieli. Jedną z piosenek, która szczególnie przypadła nam w tym czasie do serca była ta, zaintonowana przez Zygmunta Pekałę z Częstochowy i zaczynająca się od słów: "Upływa szybko życie, jak potok mija czas, za rok, za dzień, za chwilę razem nie będzie nas". Nie ma już Zygmunta Pekały - zmarł na biegunkę w Gablonz /w Pinovicach/ 2 maja 1945 r. w dzień swoich imienin, na tydzień przed wyzwoleniem. Kilku nam, nie posiadającym technicznego przygotowania, wyznaczono przydział pracy na komandzie już w Gross-Rosen. Za wstawiennictwem dr Antoniego Mianowskiego ze Lwowa, lekarza heftlinga, który kierował sanitarnym personelem

rewirów, rekomendowany przez prof. dr Mieczysława Michałowicza, z którym pracowałem jakiś czas w zespole sanitarnym rewiru III Plügel "B" w Gross-Rosen, wyznaczony zostałem na sanitariusza /Pfleger/ do obsługi komanda. Z personelu lekarskiego wyznaczono dr Twardewskiego, człowieka prawego, głęboko przeświadczonego o swoim posłannictwie na takim pesterunku, jaki wyznaczyło mu życie. Jego postawa, bezkompromisowość w kierowaniu chorych potrzebujących pomocy na rewir zwróciły uwagę zmienionych w lutym 1945 r. funkcyjnych oraz lagerführera i spowodowały odesłanie go z komanda. Na schreibera wyznaczono mówiącego po polsku Niemca z Łodzi, człowieka około 60-letniego, a do pracy w Schreibstube Vlastimila Barnata, Czecha. Tłumaczem został Witold Brust z Łodzi, a blokowym więzień polityczny imieniem Tadek, funkcje oberkape i köchenkape pełnili niemieccy kryminaliści z zielonymi trójkątami przy obcych numerach.

Któregoś dnia, w trzeciej dekadzie listopada 1944 roku skierowane nas do łaźni, wydano bieliznę i pasiaki, poddano osobistej rewizji i wyprowadzono wieczorem na plac apelew. Była to odprawa Ausenkomande-Gablonz do miejsca przeznaczenia. Getowość do wymarszu meldował raportführerowi lagerältester Pawlikowski, lagerführerem był Otto Saenger, blockführerem Paul Faber. Uformowani w pochód, objęci sprzętem gospodarczym i otoczeni kordonem SS, wyruszyliśmy w ciemność bramą wejściową KL Gross-Rosen do stacji kolejowej. Tu załadowano nas po 80 więźniów oraz nadzerczących nas wachtmanów do 7 wagonów towarowych bez okien, z przesuwanymi drzwiami pośrodku. Na trzeci dzień koło południa dotarliśmy do stacji Gablonz. Wyładowano nas i uformowano w pochód, do pobliskiej miejscowości Reinowitz, gdzie usytuowano nasze ausenkomando Gablonz. Ulokowano nas na już przygotowanym obszernym strychu zabudowań gospodarczych kuchni i stołówki dla tzw. "pracowników wolnościowych-cudzoziemców". Znajdowały się one w pobliżu fabryki urządzeń precyzyjnych Zeiss-FAB, pracującej dla potrzeb przemysłu wojennego. Zabudowania, w których znajdował się nasz blok, usytuowane były na stoku wzgórza, a do bloku, zabezpieczonego naelektryzowanym kolczastym drutem, o prześwitującym, ceramicznym dachu, wchodziło się po drewnianym mostku i po schodach. Z frontu, przed halą bloku, znajdowały się pomieszczenia dla kierownictwa komanda i wachtmanów SS. Przez uchylone drzwi od pomieszczeń SS, w momencie ewakuacji komanda w dniu 8 maja 1945 r. ujrzałem na jednej ze ścian hasła, wypisane na wysokości około pół metra od sufitu. Jedno z nich szczególnie utkwiło mi w pamięci: "Besser eigenes Messer im fremden Herz, als fremdes Messer im eigenen Herz. /Lepiej własny nóż w obcym sercu, jak obcy nóż we własnym sercu/. Na halę blokową wchodziło się przez stosunkowo wąski korytarz. Z prawej strony korytarza, wchodząc do bloku, miało się drzwi do tzw. kapówki i magazynu żywnościowego, gdzie ulokował się köchenkape z plejadą swoich pomocników do waschraumu. W głębi bloku znajdowały się nieduże pomieszczenia dla blokowego i dwa na ambulatorium. Natomiast pomieszczenia rewirów, dobudowane w styczniu 1945 roku miało około 20 m². Pozostała, olbrzymia powierzchnia bloku podzielona była na dwie zasadnicze części: tagesraum ze stołami i ławami oraz schlafraum z kilku rzędami kojek, ustawionych piętrowo, z papierowymi siennikami, wypchanymi holzwolle, nakrywanymi kocami.

Po raz pierwszy weszliśmy do pomieszczenia naszego bloku wczesnym listopadowym popołudniem 1944 r., wieczorem otrzymaliśmy pierwszy posiłek - kartofle w łupinach z sosem, zwanym przez nas zołżą, o nieokreślonym smaku. Ten pierwszy posiłek wydał się nam zapowie-

dział lepszego wyżywienia, ale była to, jak się później okazało, tylko zapowiedź. W czasie tego pierwszego posiłku wszedł na blok lagerführer i - jedyny raz w czasie trwania komanda - dyrektor fabryki, szczupły brunet w czarnym ubraniu z odznaką NSDAP w klapie marynarki, o dziwo! przedstawiony nam przez lagerführera. Powiedział parę zdań na temat spodziewanego przez fabrykę efektu naszej pracy w zamian za zatrudnienie pod dachem i pomieszczenie z centralnym ogrzewaniem. Okazało się później, że choć instalacja istniała, z eksploatacją jej było źle. Tę lustrację siły roboczej, zakontraktowanej przez fabrykę u SS, przeżywalismy z dużym napięciem emocjonalnym.

Następnego dnia z samego rana podzielono nas na dwie zmiany i grupy robocze wg ewidencji przygotowanej przez schreibstube, a potem skierowano pierwszą zmianę do pracy w fabryce. W krótkim czasie uregulowany został tryb życia. Każde z około 200-osobowych zmian roboczych, po dyslokacji na kojach wg przydziału do zmiany, miała wyznaczony 10-godzinny dzień roboczy: od 6 rano do 16 i od 20 do 6 następnego dnia. Czterogodzinna przerwa między zmianami wypełniona była myciem, posiłkiem, odswadzaniem, apelem, zajęciami na bloku. Wszystko przy akompaniamencie ryków więźniów funkcyjnych, którzy te swoje "awanse" na funkcyjnych kupowali u niemieckich kryminalistów za cenę swego ciała, a rekompensatę odbierali w postaci zwiększonych racji żywnościowych i władzy z tytułu funkcji porządkowych. Manifestowali ją ogłuszającym rykiem i pokazowym biciem współwięźniów przy łada okazji grubymi kablami o przekroju około 3 cm., przydzielanymi im do tego celu z odpadów fabrycznych. Patronował tej akcji "wychowawczej" blockführer Faber, popularnie nazywany "pięćdziesiątka", wyznaczający w tej "poleszczyźnie" karę za różne obozowe przewinienia. Wykonawcami byli funkcyjni, kapowie, żtubowy i lagerälteste w zależności od ilości więźniów poddawanych jednorazowo chłóście i "rangi" przewinienia. Odbываło się to zwykle popołudniową lub wieczorną porą, po odswadzaniu, czyli sprawdzeniu pod silną elektryczną żarówką bielizny, podawanej przez więźniów stojących w kolejce funkcyjnym. Należność odbierano zwykle w relacji 1:1, tj. wesz-jedno uderzenie pałą.

W ogromnym napięciu psychicznym przeżywalismy te codzienne "imprezy". Krzyki katowanych, rozbestwienie funkcyjnych i niepewność najbliższej chwili robiły z nas ludzkie łachmany. Wzrastające wciąż napięcie odczuwałem w sposób bardziej dotkliwy niż razy, otrzymywane po rozłożeniu mnie i przytrzymaniu. Czułem już wtedy tylko potworny ból, wydawałem jakieś zwierzęce, nieartykułowane ryki.

W ambulatorium przybywało opatrunków zarówno z powodu obrażeń przy pracy, jak i pobicia przez oberkapo i jego pomocników. W związku ze stwierdzeniem przez dr Twardowskiego przypadku jaglicy u około 20-letniego Polaka, którego przy najbliższej okazji odesłano do Gross-Rosen, lagerführer wydał polecenie odizolowania chorych od zdrowych. Wyznaczono małą część tagesraumu i kazano ją odgrodzić jako rewit, wykorzystując dwie boczne ściany bloku, murem wysokości 2/3 hali blokowej. Do prac murarskich zgłosił się ochotniczo wysoki Polak z kilku kolegami. O murarce nie mieli jednak pojęcia, tak że praca szła im opornie. Po dwóch dniach, kiedy pierwsza zmiana odeszła od fabryki, a druga jeszcze nie powróciła, wybuchła duża awantura. Lagerführerowi doniesiono, że murarz szykuje na niego zamach, nawet znaleziono u niego żelazny łom. Zdeenerwowany lagerführer wpadł z krzykiem na blok, schwycił małą ławkę stojącą w pobliżu i zaczął nią okładać murarza. Szybko zmęczył się jednak i wyznaczył mu karę 25 kijów. Egzekutorem był blokowy.



Wazon z kwiatami wykonany bezpośrednio na tynku ściany baraku. Blisko po 40 latach był czytelny w kompozycji i barwie. Autorem obrazów w Gablonz był więzień Rosjanin /nazwisko nie ustalone/. Dwa inne obrazy tegoż autora zamieszczono w "Przeżyliśmy Gross-Rosen" Tom I zeszyt 1 na stronie 28.

Foto archiwum Gross-Rosen nr 3.1.1.59
zdjęcia wykonano w 1980 roku.

Murarzowi zakazano dalszej pracy na bloku i odebrano dodatkowe wyżywienie za "budowę" rewiru. Na tym incydent się zakończył, a ścianki rewiru postawili inni więźniowie. Ledwie skończyła się ta sprawa w kapówce pobiły się władze - lagersälteste "Tadek" i kûchenkapo. Poranili się. Wyleciały szyby, ale sprawę zatuszowali między sobą. Wieczorem, przed apelem, kûchenkapo wezwał mnie do siebie i polecił mi opatrzyć sobie pokaleczone pięści. W kapówce stało kilka piętrowych kojek, na których spali pracujący w kûchenkapo więźniowie, przeważnie młodociani. Za udzieloną pomoc dostałem dodatkową pajdkę" chleba z marmoladą. Od tego czasu wzywał mnie każdorazowo, kiedy jakieś obrażenie czy niedomogi zdarzały się jego "podopiecznym". Za opiekę sanitarną płacił dodatkowo w dostępny sobie sposób. Zaopatrzył mnie w kilkakrotnie większą ilość misek niż tego wymagał stan chorych na rewirze, polecając porządkowym wydawać na rewir dolewki. Pobierano je w wydane miski. Stałem przy drzwiach i podawałem na pierwszą койkę. Podane miski z jedzeniem wędrowały pod koce, dopóki ich nie zabrakło. Pod koniec na kocach było po jednej misce - legalnie. W ten sposób, przy braku leków, tak zwiększona ilość wyżywienia stwarzała możliwość przynajmniej częściowej regeneracji sił. Tylko rozdmiały chleba ten sposób fasowania niestety nie dotyczył. Chleb był dzielony ściśle według stanu chorych.

Przed świętami Bożego Narodzenia lagerführer dostarczył z fabryki kolorową kredę i farby. Polecił jednemu z kolegów Rosjan, reklamującemu swoje umiejętności artysty, wymalować na ścianach obrazy. Tak powstały nasze obozowe egzotyczne malowidła ściennie, obrazujące więźniarskie tęsknoty za przestrzenią, przyrodą, wolnością. Pozostały do dzisiaj, zabezpieczone przez naszych czeskich przyjaciół. Znajdują się na terenie dzisiejszych zakładów produkcyjnych LIAZ w Rynovicach, choć naturalnie blok zmienił przeznaczenie - znajduje się w nim magazyn - a fabryka swój profil produkcyjny.

Na okres świąt skrócono czas pracy w fabryce; mieliśmy czas wolny od ранней zmiany pierwszego dnia świąt do drugiej zmiany następnego dnia. Ale wolny tylko od pracy w fabryce. Przeznaczono go natomiast na generalne porządki - mycie, pranie, odwszawianie, czyszczenie. Wydano nam papierosy; od pewnego czasu blockführer wyznaczał je jako specjalną premię dla odwszawiaczy. Za zarobione marki obozowe mogliśmy nabyć dodatkową żywność - gotowane kartofle w łupinach oraz na słodko przyrządzony kompot z buraków. Były tego mizerne ilości.

W niedługi czas po świątach lagerführer zachorował na tyfus brzuszny. Leżał w swoim pomieszczeniu w esesmańskiej części naszego bloku. Przyrządzaniem i podawaniem mu pożywienia, według wskazówek obsługi sanitarnej SS, zajmował się kûchekapo i podlegający mu więźniowie. Zapanowała tyfusowa psychoza. Nadzorujący nas esesmani, choć nikt więcej, ani po ich, ani po naszej stronie, nie zachorował na żadną odmianę tyfusu, panicznie obawiali się choroby, szczególnie tyfusu plamistego. Przy ogólnym braku środków do utrzymania higieny, mydła, ciepłej wody, zmiany odzieży, zabezpieczenia czystości posłań, zaostrzono wydatnie sankcje za znalezione u więźniów wszy. Odwszawianie stało się zmorem więźniów. Mimo kar, w tak anty-sanitarnych warunkach zawszenie bezustannie wzrastało. Bicie wszy nie rozwiązywało sprawy, nie rozwiązywało jej też cotygodniowe, niedzielne pranie odzieży w zimnej wodzie bez mydła, ale za to zwiększyła się zachorowalność, spowodowana przeziębieniami, wywołanymi wprowadzaniem więźniów przy

kilkunastustopniowym mrozie na plac poza blokiem, w mokrych, za-
ledwie wyżętych ubraniach i pędzeniem ich pod pałkami przez śnieg
po kolana lub, na zmianę, poleceniami czołgania się w śniegu. Dzia-
łanie to, zdaniem blockführera, miało spowodować wygubienie wszy.

Ze względu na obawę zarażenia się przy wzrastającej zachoro-
walności administracja komanda zażądała od fabryki przydziału le-
ków. Pobierano je z fabrycznej, przyambulatoryjnej apteczki. Przy-
działy obejmowały zarówno załogę SS, jak i komando. Spełniałem ro-
lę tragarza, pod osobistym nadzorem blockführera Fabera, przy prze-
noszeniu lekarstw z fabryki do pomieszczeń komanda. Ujawnił on przy
tym swoje zamiłowanie do alkoholu. Niektóre leki na spirytusie /wy-
dawano ich niewielkie ilości/ kierował rzekomo do więzińskiego
ambulatorium, a następnie wypijał je. Przy okazji udało mi się
wmówić w niego konieczność pobrania dla nas innych leków, pozosta-
jących jakoby w ścisłym związku z leczeniem środkami sporządzanymi
na spirytusie. Tych już jednak nie traktował jako zakąski - pozos-
tawały dla więźniów. Zwiększenie zaopatrzenia w lekarstwa nie na-
dążało jednakże za wzrostem zachorowań; mnożyły się przypadki za-
palenia płuc, gruźlicy, biegunki, flegmony, róży.

W tym początkowym okresie funkcjonowania komanda dwu więźniów
podjęło ucieczkę, Chorwat i Rosjanin. Schwymano ich, skatowano,
przyodziano w błazeńskie, papierowe stroje z tablicą na piersiach
"Wir sind wieder da" - my znów wróciliśmy tutaj i przydzielono
na blok. Wieczorem wyprowadzono...

Coraz więcej nas ubywało. Słabszych, schorowanych czy wyelimi-
nowanych z pracy w fabryce, kierowano do obozu macierzystego Gross-
Rosen bądź na inne komanda, a stamtąd przywożono nowych więźniów.
W ten sposób przeniesiono naszego kolegę Henryka Uchmana na koman-
do Reichenau. Coraz częściej odbywał się taki ruch więźniów po-
między Gross-Rosen i komandami. Rozumieliśmy go jako "profilakty-
kę" przeciw zżywaniu się więźniów wyimaginowanym "episkom".

Na jakiś czas przed pierwszą selekcją, pewnego dnia w godzi-
nach wieczornych wprowadzono na blok pod eskortą esesmanek 100-
osobowy, pieszy transport ewakuacyjny więźniarek, Żydówek różnych
narodowości. Naszym więźniom polecono iść spać na койki. Zostali
funkcyjni. Więźniarkom kazano partiami rozebrać się do naga i umyć
się pod prysznicami. Były zdrożone, wyczerpane, z różnymi obraże-
niami. Opatrywaliśmy je z lekarzem w ambulatorium. Skarżyły się
na pobicia, w czasie drogi. Jedna z nich miała piersi poparzone
przez esesmankę wylaną na nią na mrozie herbatą. Przebywały do
późna na bloku, a po mykwie skierowane zostały do przygotowanego
dla nich w tym czasie przyfabrycznego baraku. Opatrywaliśmy je
jeszcze następnego dnia, kiedy nocna zmiana naszych kolegów posz-
ła spać.

Dopóki byliśmy tylko we dwójkę z dr. Twardowskim przy obsłudze
sanitarnej komanda, stanowiliśmy poważne oparcie dla kolegów, nie
będąc kontrolowani i terroryzowani przez funkcyjnych. Niebawem
stan ten zmienił się. Z oświęcimskiego transportu ewakuacyjnego
przybyło kilkudziesięciu więźniów zaopatrzonych w żywność i leki
wydane im na drogę. Lagerführer Saenger został odwołany, a na je-
go miejsce przybył nowy. Ze zlikwidowanego komanda w Hirschbergu
przybył nowy lagerälteste i blockälteste, obaj Niemiec przyśię-
cy z zielonymi trójkątami, obaj noszący imiona Heinz. Przybyło z
nimi kilkunastu więźniów, przeważnie Żydów bądź pochodzenia ży-
dowskiego. Między nimi lekarz Żyd pochodzenia czeskiego, który od
przybycia też dorywczo pracował w ambulatorium przy popołudnio-
wych przyjęciach chorych. Przybysze przywieźli sprzęt i zaopatrze-
nie po zlikwidowanym komandzie w Hirschbergu i nowe, zięjące grozą
i śmiercią porządki.

odkryty grób 2 więźniów
pochowanych w lesie
foto archiwum Gross-Rosen
3.1.1.16



odkazywanie zwłok
foto archiwum
Gross-Rosen
3.1.1.15



Przeprowadzono kontrolę stanu chorych, a w niedługim czasie po tym odesłano do Gross-Rosen dr. Twardowskiego. Na jego miejsce, z nową partią więźniów, przybył dr Eugeniusz Nowackiewicz, ginekolog z Wrześni. Zajął on jedno z dwu pomieszczeń w ambulatorium, odseparowując się od rewiru, do którego przychodził tylko na poranny obchód. Kontakt z nim polegał na relacjach o stanie chorych podczas obchodu i na wspólnych przyjęciach ambulatoryjnych w godzinach popołudniowych. Pomocy chirurgicznej udzielał w sposób brutalny, tak że w czasie przyjęć ambulatoryjnych niechętnie do niego podchodzono, podczas kiedy przede mną ustawiała się kolejka. Było to przyczyną jego niechęci i separowania się ode mnie. W czasie dnia, kiedy obsługiwał łóżka chorych, nie kierowanych przez niego na rewir, korzystał z usług i pomocy przybyłego z nim więźnia "krajana", który prócz funkcji nadkontyngentowego sanitariusza spełniał też rolę "obozowej orkiestry" jako harmonista. Dysponował bowiem przydzielonym mu, a przywiezionym z Hirschbergu akordeonem. Z nowym natomiast lagerälteste i blockälteste dr. Nowackiewicz utrzymywał koleżeńskie stosunki. Na rewirze przebywali w tym czasie: Kurt Grzondziel – jedyny Polak z Piotrowic, zesłany do obozu za niepodpisanie folkslisty, a skierowany na rewir w stadium krańcowego wyczerpania; Jan Stachura, lotnik, ze zoperowaną przez dr Twardowskiego flegmoną; Jan Baranowski i Czesław Reszko z Warszawy; dr Jan Kurnatowski – Dadak z Krakowa; Franjo Klindic z Banjaluki; Zdzisław Ładkowski, przybyły do KL Gross-Rosen z KL Stutthoff, Józef MaziarSKI z Krakowa; Janocha, robotnik warszawski; Stanisław Jankowski z Łodzi; Stanisław Grzybowski z Warszawy; Madej, wieśniak; wysoki Pawło z Białorusi i inni, których nazwisk już nie pamiętam. To Pawło, patrząc, jak śmierć przerzedza nasze szeregi i jak umarłych zaszywa się w papierowe sienniki, ułożył wiersz:

"Siedyje wierby nad wodoju
poniże gołowu nakłoniat
kagda niemytoho mienia
w rogożkie ticho pochoroniat".

Przebywaliśmy razem całymi dniami. Nawiązała się między nami głęboka, przyjacielska więź. W rozmowach-wspomnieniach, we wierze w lepsze, wolne jutro nie kryliśmy się przed sobą. Nie było między nami zdrady. Starałem się im pomóc wszystkimi dostępnymi mi środkami, umiejętnościami i możliwościami. Oszczędzałem, jak mogłem, ich wyczerpane siły. Od wszy tylko nie umiałem ich wyzwolić. Składali swe ubrania na rewirze – stamtąd wyłaziło robactwo. Nie było środków, aby je skutecznie wytępić. Za moją troskę o nich odwdzięczali się głęboką życzliwością. Do dzisiaj zachowałem ich przyjaźń. Do dzisiaj z tymi, którzy jeszcze żyją, utrzymuję kontakty.

Głęboko wstrząsnęła nami pierwsza selekcja pod patronatem Fabera. Przeprowadzali ją lagerälteste, blockälteste i lekarz. W wyniku jej blokowy i lekarz zastrzykami z sublimatu zgładzili kilku chorych. Nie pominęli rewiru – tu uśmiercili dwu ciężko chorych. W tym momencie nie orientowaliśmy się jeszcze, że to śmiercionośne zastrzyki. Po wezwaniu kilku wyselekcjonowanych więźniów do ambulatorium, z którego już nie mieli wyjść, lekarz i blokowy przybyli na rewir. Blokowy trzymał napełnioną strzykawkę. Myślałem w pierwszej chwili, że lekarz uczy blokowego robić zastrzyki. Do takiego mniemania skłonił mnie przypadek, który widziałem, przecięcia w ambulatorium podczas przyjęć flegmony u jednego więźnia przez blokowego przy fachowych uwagach lekarza. Dopiero po pewnym czasie, kiedy funkcyjni wynieśli zmarłych z ambulatorium i rewiru do pomieszczenia z prysznicami, zorientowa-

Místní Národní výbor v Železném Brodě.

2.2. V Žel. Brodě dne 12.5.1945

Průvodní list

pro *Gusaraka...* nar.:

místo narození: *12.11.1911* *Pavlov*

státní příslušnost: *polák*

Nebudíš jmenován v cestě činně obtíží a překážek, pokud by se jmenovaný nedopustil nějakých trestných činů.

Důvod vydání průvodního listu:

Právní domov *Volná práce*

Za místní Národní výbor :

Referent bezpečnostní služby NV: *Janek Hamula*

Předseda NV: *P. K. Hamula*

Prostředkem v Podjezdské zastavali myslivce na pozemcích obce

Adam Grzaski

12.5.1945

Chorzy więźniowie po odzyskaniu zdrowia w szpitalu Czeskiego Czerwonego Krzyża w Żelaznym Brodzie otrzymali przepustki umożliwiające im powrót do domów. Przepustka Adama Grzaskiego, wydana dnia 15 maja 1945 roku była jego pierwszym dowodem osobistym na wolności.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.1.27.2.



Więzień nieznany w pierwszy dzień wolności.
Odpoczywa i rozmyśla być może - o tym jak to
możliwe, że wszystko to co przeżył ma już za sobą
Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.1.41.

liemy się, co to było. Od wciągnięcia mnie do tej potwornej akcji uratowała mnie niska postura, słaba znajomość języka niemieckiego i brak jakiejkolwiek więzi z lagrowym, blokowym i lekarzem. Ocenili, że nie jestem im potrzebny. Nie umiem odpowiedzieć na pytanie, czy gdyby nie opatrność losu zostałbym wtedy bohaterem, czy nikczemnikiem. Czym zgładzili chorych, dowiedziałem się później. Blokowy Heinz za jakieś wykroczenie złamał szczękę młodemu, dobrze zbudowanemu Polakowi. Ze względu na to, że personel techniczny fabryki, opierając się na przypadku kolegi Henryka Uchmana, zwrócił uwagę funkcyjnym, nadzorującym pracę więźniów, że nie życzy sobie pobitych mało wydajnych robotników, blokowy zabrał go ze sobą do ambulatorium. Stamtąd chłopak skierowany został na rewir. Przyszedł zrozpaczony, głośno biadając: "etruli mnie". Przez następne dwa dni poważnie zaniemógł. Trzeciego dnia na obchód przyezedł lekarz z blokowym. Ten, widząc swą ofiarę, zwrócił się do lekarza: "Ich will ihn nicht mehr sehen" - Ja nie chcę go więcej widzieć. Po obchodzie lekarz polecił mi przyprowadzić chorego do ambulatorium. Kazał mu usiąść na ławce, wziął ze stołu strzykawkę i zrobił mu zastrzyk w rękę. Chory osunął się na ziemię. Zapytałem wtedy lekarza, co mu podał. Odpowiedział "sublimat" i polecił mi wrócić na rewir.

Wprowadzono zwyczaj likwidowania chorych więźniów na skutek pobicia w obozie w obawie przed donosem, że pozbawiają siły roboczej w fabryce. Początkowo blokowy sam, a potem wspólnie z lekarzem zaczęli likwidować więźniów rewiru, zastrzykując im przy pomocy lekarskiej strzykawki sublimat. Odbывało się to na na izbie przyjęć w której mieszkał lekarz, naprzeciw rewiru. Na polecenie blokowego kilku więźniów zorganizowało chór, który podczas uśmiercania chorych śpiewał pod drzwiami niemieckie piosenki:

Willkommen frohe Snger
Seid gegrhst euch tausend Mall
Doim roten Bcher Weine
Unser Freundschaftsbund erneut
la la la la la la
Unser Freundschaftsbund erneut

co w tumaczeniu brzmi:

Witajcie weseli piewacy
Bdźcie witani tysiąc razy
Przy czerwonym kubku wina
Nasz zwizek przyjacielski si odprawia
la la la la la la
Nasz zwizek przyjacielski si odprawia

albo

Wem die Liebe nicht wre
Wre der Kinderwagen lehr
Und der Storch mhste stempel gehen
Darum wollen uns lieben
Und den Kinderwagen schieben

w tumaczeniu:

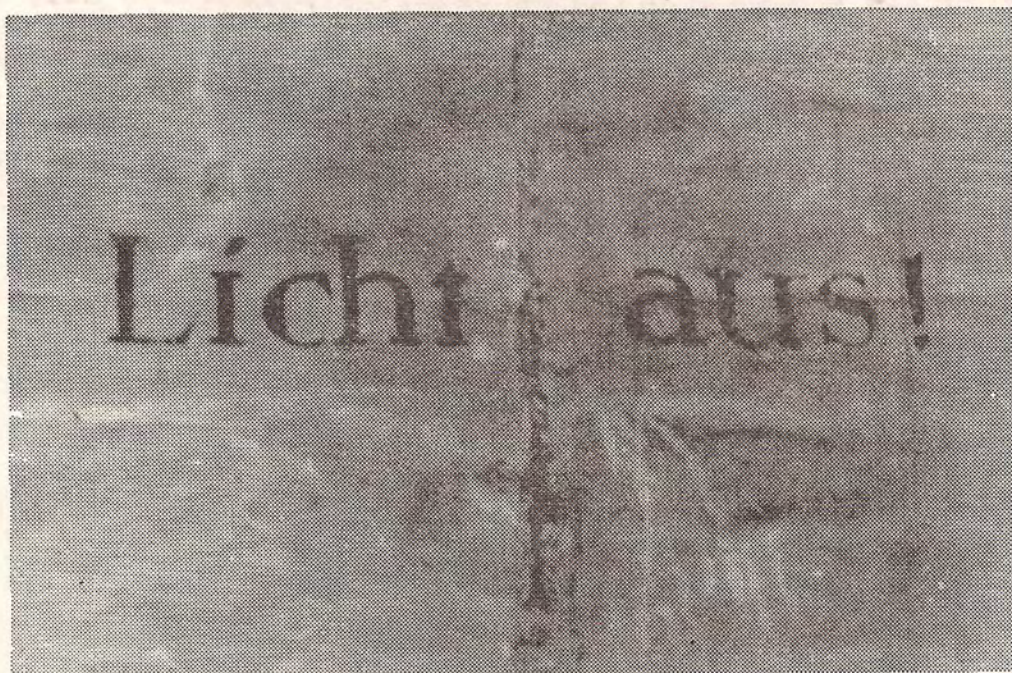
Gdyby miość nie istniała
Byłby dziecięcy wzek pusty
A bocian musiałby chodzić stemplować
Dlatego chcemy si kochać
I ten dziecienny wzek pchać
albo

Mit Humor mit Humor
Kommt der alles leichter vor
Ob in Osten ob in Westen
Doch zu Hause ist am besten
Hummel, Hummel mit Humor

co oznacza:

Z humorem z humorem
Wydaje się wszystko lżejsze
Czy od wschodu czy od zachodu
Jednak w domu jest najlepsze
Humel, humel z humorem

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.3.1.



Przytoczony przez Adama Grzaskiego napis nie zachował się. Natomiast pozostała na ścianie wewnętrznej baraku Komanda Gablonz tylko ten napis. Zdjęcie wykonano w 1980 roku.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.2.8.